

LAFCADIO HEARN

KWAIDAN
OPOWIEŚCI NIEZWYKŁE

PRZEKŁAD: JERZY A. RZEWUSKI



WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE • ŁÓDŹ • 1984

OPOWIEŚĆ O MIMI-NASHI-HOICHI

Za górą siedemset lat temu, pod Dan-no-ura w cieśninie Shimonoseki, stoczona została bitwa kładąca kres długotrwałej rywalizacji pomiędzy Heikè, czyli rodem Taira, a Genji, czyli rodem Minamoto. Heikè ponieśli ostateczną klęskę, zginęli wraz z kobietami i dziećmi oraz cesarzem infantem, wspominanym dziś jako Antoku-Tenno. Od siedmiuset lat morze i wybrzeże są nawiedzone... Gdzie indziej opowiedziałem już wam o znajdujących tam przedziwnych krabach, zwanych krabami Heikè, które mają ludzkie twarze na grzbietach, i o których mówi się, że są duszami wojowników Heikè *. Lecz na tym wybrzeżu widzi się i słyszy wiele innych, równie niezwykłych rzeczy. W ciemne noce tysiące upiornych ogników unosi się nad plażą lub krąży nad falami — to *Oni-bi*, „diabelskie ogniki” — a kiedy zrywa się wiatr, od morza dobiegają odgłosy potężnej wrzawy, jakby bitewnego zgietku.

W dawniejszych czasach Heikè byli nieporównanie bardziej dokuczliwi niż dzisiaj. Wyrzucali się wokół statków żeglujących nocą i usiłowali je zatopić, stale czyhali na pływaków, by pociągnąć ich w głębinę. Aby udobruchać zmarłych, w Akamagaseki ** wzniesiona została buddyjska świątynia Amidaji, a w jej pobliżu, tuż obok plaży, powstał cmentarz, gdzie postawiono pomniki opatrzone imionami utopionego cesarza i jego dostojnych wasali, a za spokój ich dusz regularnie odprawiano buddyjskie nabożeństwa. Po wybudowaniu świątyni i ufundowaniu nagrobków, Heikè sprawiali mniej utrapień, ale dalej — od czasu do czasu — przypominali o sobie dziwnymi czynami, zdradzając, iż spokoju doskonałego nie zaznali.

Przed kilkoma stuleciami w Akamagaseki mieszkał niewidomy o imieniu Hoichi, sławny z biegłości w recytacji i grze na biwie ***. Od wczesnego dzieciństwa przyuczano go do tej sztuki, a gdy jeszcze był młodym chłopcem, prześcignął w niej swych nauczycieli. Jako zawodowy *biwa-hoshi* zdobył rozgłos głównie dzięki recytowaniu historii Heikè i Genji — mówiło się, że kiedy śpiewał pieśń o bitwie pod Dan-no-ura „nawet upiory nie mogły powstrzymać łez”.

W zaraniu swej kariery Hoichi był bardzo biedny, pozyskał jednakże przyjaźń i wsparcie bonzy Amidaji, który cenił poezję i muzykę, i często zapraszał go do świątyni, aby grał i recytował. Później, będąc pod wielkim wrażeniem cudownego talentu chłopca, zaproponował, by świątynia stała mu się domem, a oferta z wdzięcznością została przyjęta. Hoichiemu oddano do dyspozycji osobny pokój, w podzięcie zaś za wyżywienie i mieszkanie obowiązany był w niektóre wieczory radować bonzę koncertem. Poza tym cieszył się pełną swobodą.

Pewnej letniej nocy duchownego wezwano do odprawienia buddyjskich modłów w domu zmarłego i udał się tam wraz ze swym pomocnikiem, pozostawiając Hoichiego samego w świątyni. Noc była gorąca i niewidomy szukał ochłody na werandzie sypialni. Wychodziła ona na niewielki ogród na tyłach Amidaji. Tam Hoichi oczekiwał na powrót przyjaciela i starał się zapomnieć o samotności ćwicząc na biwie. Minęła północ, lecz bonza nie wracał, a powietrze było wciąż nazbyt rozgrzane, by można było znaleźć wytchnienie pośród ścian, toteż chłopiec pozostał na werandzie. Wreszcie od strony tylnej furty dobiegł go odgłos zbliżających się kroków. Ktoś przeszedł przez ogród, podszedł do werandy i zatrzymał się dokła-

* Opis tych niezwykłych krabów znaleźć można w mojej pracy *Kotto*.

** Inaczej: Shimonoseki. Miejscowość ta znana jest także jako Bakkan.

*** *Biwa* — rodzaj czterostrunowej lutni — używana jest przeważnie do wykonywania muzyki inaugurującej śpiewy narracyjne. W dawniejszych czasach zawodowi minstrelle, którzy recytowali *Heikè-Monogatari* i inne tragiczne historie zwani byli *biwa-hoshi*, czyli „lutnikami-kapłanami”. Rodowód tego określenia nie jest jasny, być może jednak wywodzi się stąd, iż „lutnicy-kapłani”, jak i niewidomi masażyści, golili głowy, tak jak buddyjscy kapłani. Na biwie gra się przy pomocy dużej kostki wykonanej zazwyczaj z rogu.

dnie na wprost niego — lecz nie był to kapłan. Głęboki głos wypowiedział imię niewidomego — szorstko i bezceremonialnie, zwyczajem samurajów zwracających się do ludzi niższego stanu:

— Hoichi!

Przez moment chłopiec był nazbyt zaskoczony, by odpowiednio zareagować, i głos ponownie wezwał go tonem surowego rozkazu:

— Hoichi!

— *Hai* — odpowiedział wreszcie przestraszony. — Jestem ślepy! Nie widzę, kto mnie wzywa!

— Nie masz powodów do obaw — rzekł nieznajomy już trochę łagodniej. — Stoję obozem niedaleko tej świątyni i wysłano mnie tutaj z misją. Mój obecny pan, osobistość nadzwyczaj wysokiej rangi, przebywa obecnie w Akamagaseki z wieloma szlachetnymi dworzakami. Jego życzeniem było ujrzeć scenerię zmagania pod Dan-no-ura i dzisiaj miejsce to odwiedził. Usłyszawszy o twojej biegłości w recytowaniu opowieści o bitwie, zapragnął ją usłyszeć. Weźmiesz więc biwę i natychmiast udasz się do domostwa, gdzie oczekuje na ciebie już dostojne zgromadzenie.

W owych czasach rozkaz samuraja nie mógł być bezkarnie zlekceważony. Hoichi założył sandały, ujął biwę i podążył za nieznajomym, a ten zręcznie go prowadził, zmuszając jednocześnie do szybkiego marszu. Stalowa była dłoń, która go wiodła, a szczęk, wtórujący każdemu stąpięciu rycerza, wskazywał, iż był on w pełnym rynsztunku bojowym — sprawiał wrażenie pałacowego gwardzisty na służbie. Pierwszy strach już przeminął i Hoichi zaczął uważać siebie za kogoś, kogo spotkało wielkie szczęście, gdyż — wspomniawszy wiadomość o „osobistości nadzwyczaj wysokiej rahi” — pomyślał, że dostojnik, który życzył sobie usłyszeć jego recytację, nie mógł być kimś niższym od *daimyo* * pierwszej klasy. Naraz jego przewodnik zatrzymał się i Hoichi zdał sobie sprawę, że znaleźli się przed wielką bramą. Zdziwił się, bowiem nie mógł przypomnieć sobie, by w tej części miasta była jakaś brama, jeśli nie liczyć głównych wrót Amidaji. „*Kai-mon!*” ** — zawołał samuraj i po chwili rozległ się zgrzyt rygli. Ruszyli obaj naprzód, przemierzyli przestronny ogród i ponownie zatrzymali się przed jakimś wejściem. Gwardzista obwieścił donośnym głosem: „Czcigodni zgromadzeni! Przyprowaǳiłem wam Hoichiego!” Natychmiast dały się słyszeć odgłosy poruszających się stóp, rozsuwanych ekranów, otwieranych drzwi przeciwdeszczowych i głosów rozmawiających z sobą kobiet. Po ich mowie Hoichi poznał, iż są one mieszkankami szlachetnego domostwa, lecz nie był w stanie odgadnąć, dokąd go przyprowaǳono. Nie pozostawiono mu jednak zbyt wiele czasu na domysły. Pomógłszy mu pokonać kilka kamiennych schodków — na ostatnim polecono, by zdjął sandały — kobieca dłoń powiodła go przez połacie wypolerowanych podłóg z desek, przez wsparte filarami zakola — nazbyt liczne, aby je wszystkie spa-miętać — przez zadziwiająco rozległe przestrzenie wyłożone matami — aż na środek olbrzymiej komnaty. Wyczuł tam obecność wielu dostojnych osób — dobiegający go szelest jedwabiu podobny był szumowi liści w lesie. Słyszał również gwar przyciszonych rozmów, a język, którym się posługiwano, był językiem dworskim.

Polecono mu, by spoczął na przygotowanej dlań poduszce. Kiedy usadowił się wygodnie i nastroił instrument, głos kobiety, w której odgadł *rojo* — matronę sprawującą nadzór nad kobiecą służbą — zwrócił się do niego takimi słowami:

— Życzeniem naszym jest, aby z akompaniamentem biwy wyrecytowana została historia Heikè.

Ale recytacja całości wymagałaby kilku nocy, przeto Hoichi ośmielił się zadać pytanie:

— Jako że całość owej opowieści wkrótce skończona być nie może, którą jej część

* *Daimyo* — wielki feudał, ustępujący swą pozycją jedynie shogunowi (przyp. red.).

** Zwrot grzecznościowy zawierający prośbę o otwarcie bram. Używany był przez samurajów jako zawołanie do strażników pełniących służbę przy bramie rezydencji dostojnika.

dostojni pragną teraz usłyszeć?

Głos kobiety odpowiedział:

— Recytuj opis bitwy pod Dan-no-ura, bowiem żal po niej jest szczególnie głęboka.

Wówczas Hoichi podniósł głos i zaśpiewał pieśń o bitwie na morzu goryczy, w cudowny sposób zmuszając biwę, by brzmiała jak mozól wiosł i pęd okrętów, świst i furkot strzał, okrzyki i tupot mężczyzn, szcęk stali o hełmy, pogrążanie się zabitych w topieli. A z lewej i prawej strony, w przerwach w recytacji, dobiegały go pochwalne szepty: „Cóż to za wspaniały artysta! Nigdy w prowincji naszej nie słyszano podobnej gry! W całym cesarstwie nie ma drugiego pieśniarza równego Hoichiemu!” Nowe siły wstąpiły wtedy w niego i grał i śpiewał jeszcze lepiej, a wypełniona podziwem cisza pogłębiła się wokół niego. Lecz kiedy doszedł do momentu mówiącego o losie nadobnych i bezbronnych, o budzącej litość zagładzie kobiet i dzieci, i o skoku Nii-no-Amy z cesarskim dziecięciem w ramionach, wszyscy słuchacze wydali jeden przeciągły, dreszczem przejmujący okrzyk rozpacz, po czym łkali i zawadzili tak donośnie i niepohamowanie, że przeraziła go gwałtowność żalu, którego był przyczyną. Długo jeszcze szlochano i płakano. Lecz stopniowo lamenty ucichły i w głębokiej ciszy, jaka zapadła, Hoichi ponownie usłyszał głos kobiety, którą uprzednio uznał za *rojo*:

— Choć zapewniano nas, że jesteś bardzo utalentowanym muzykiem, nie mającym równych sobie także w sztuce recytacji, nie przypuszczaliśmy, aby ktoś mógł być tak zręczny, jak dowiodłeś tego dzisiejszej nocy. Nasz pan z zadowoleniem raczył oświadczyć, iż zamierza obdarzyć cię hojnie. Pragnie jednak, byś śpiewał dla niego przez sześć najbliższych nocy, po którym to czasie prawdopodobnie uda się łaskawie w podróż powrotną. Przeto jutrzejszej nocy masz stawić się tu o tej samej godzinie — wysłany będzie po ciebie dworzaniek, który i dziś cię przyprowadził... Jest jeszcze jedna rzecz, o jakiej polecono mi powiadomić cię. Życzymy sobie, abyś z nikim nie rozmawiał o swoich tu wizytach w czasie, gdy pan nasz łaskawie gości w Akamagaseki. Ponieważ podróżuje incognito * żąda, aby żadna wzmianka o nim nie została uczyniona... A teraz możesz już wracać do świątyni.

Kiedy Hoichi wypowiedział stosowne słowa podzięk, kobieta dłoń pokierowała jego krokami do wyjścia, gdzie oczekiwał nań ten sam samuraj, który przedtem go tu przywiódł. Towarzyszył mu aż do werandy i tam pożegnał.

Świtało już prawie, kiedy powrócił, lecz nikt jego nieobecności w świątyni nie zauważył. Bonza przekonany był, że chłopiec w nocy spał. W ciągu dnia Hoichi mógł nieco wypocząć, nie wspominając jednak ani słowem o swojej niezwykłej przygodzie. W środku następnej nocy samuraj znowu przyszedł po niego i zaprowadził przed dostojne zgromadzenie, a recytacja spotkała się z takim samym uznaniem jak poprzednio. Ale tym razem jego zniknięcie zostało przypadkowo odkryte, i gdy zjawił się nad ranem, wezwano go przed oblicze kapłana, który odezwał się tonem łagodnej wymówki:

— Bardzo niepokoił się o ciebie, przyjacielu Hoichi. Niebezpiecznie jest oddalać się o tak późnej godzinie, będąc ślepym i samotnym. Dlaczego wyszedłeś nic nam o tym nie mówiąc? Mógłbyś nakazać służącym, by ci towarzyszyli. A gdzie byłeś?

— Wybacz mi, dobry przyjacielu. Musiałem zająć się pewną prywatną sprawą i nie mogłem uczynić tego o innej godzinie — odpowiedział wykrętnie chłopiec.

Duchowny był bardziej zaskoczonym niż urażonym powściągliwością Hoichiego. Czuł, że kryje się za nią coś nadprzyrodzonego i podejrzewał jakieś nieszczęście. Obawiał się, że niewidomy jest zauroczony, bądź podstępnie omotany przez złe duchy. Nie wypytywał go jednak dłużej, lecz w tajemnicy rozkazał służącym, by baczyli na niego i poszli za nim, gdyby znowu chciał opuścić świątynię po zapadnięciu zmroku.

Już następnej nocy ujrano, jak Hoichi wymyka się, i służący, zapalwszy latarnię, natychmiast podążyli jego śladem. Ale owa noc była deszczowa i bardzo ciemna i zanim zdążyli

* W oryginale: „odbywa dostojną podróż w przebraniu” (*shinobi no go-ryoko*).

dotrzeć do drogi, chłopiec zniknął. Bez wątpienia kroczył bardzo szybko — dziwna rzecz, zważywszy na jego upośledzenie, zwłaszcza, że droga była w bardzo złym stanie. Mężczyźni śpiesznie przemierzali ulice, rozpytując we wszystkich domach, w których Hoichi zwykł bywać, lecz nikt nie był w stanie udzielić o nim żadnej informacji. Aż nagle, gdy wracali już do świątyni ścieżką prowadzącą wzdłuż wybrzeża, usłyszeli dźwięki pełnej furii gry na biwie, dobiegające od strony cmentarza Amidaji. Zdumieli się, bowiem, jeśli nie liczyć upiornych ogników, jakie zawsze unoszą się nad tym miejscem w ciemne noce, panowała tam nieprzenikniona czerń. Pośpieszyli jednak bez wahania i w świetle latarni ujrzeli Hoichiego siedzącego samotnie na deszczu przed pamiątkowym nagrobkiem Antoku-Tenno, uderzającego w struny biwy i recytującego pełnym głosem pieśń o bitwie pod Dan-no-ura. A za nim i wokół niego, i wszędzie ponad nagrobkiem, paliły się ognie zmarłych, podobne płomykom świec. Nigdy dotąd oczom śmiertelnego człowieka nie był dany widok tak olbrzymiego zastępu *Onibi...*

— Hoichi San! Hoichi San! — wykrzyknęli. — Jesteś zauroczony!... Hoichi San!

Ale niewidomy nie słyszał wołania. Z wielką mocą wydobywał z biwy brzęk, dzwonienie i szczęk, coraz zapamiętałej śpiewając pieśń o bitwie pod Dan-no-ura. Słudzy schwycili go, krzycząc mu do ucha:

— Hoichi San! Hoichi San! Chodź z nami natychmiast do domu!

— Przerywanie mi w podobny sposób przed tym dostojnym zgromadzeniem nie ujdzie wam bezkarnie — odezwał się do nich Hoichi tonem nagany.

Nie zważając na niesamowitość sytuacji, mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Z pewnością chłopak był zauroczony. Ujęli go pod ramiona, postawili na nogi i nie szczędząc sił pośpiesznie zaprowadzili do świątyni, gdzie na polecenie bonzy zdjęto zeń przemoczone odzienie, przebrano i zmuszono do posilenia się i ugaszenia pragnienia. Następnie duchowny stanowczo domagał się pełnego wyjaśnienia powodów dziwnego postępowania przyjaciela.

Hoichi długo zwlekał, lecz w końcu, widząc że jego zachowanie doprawdy zaniepokoiło i rozgniewało dobrego kapłana, postanowił przełamać swą powściągliwość i opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się od chwili pojawienia się samuraja.

— Hoichi, mój biedny przyjacielu — rzekł bonza — znalazłeś się w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Jakże źle się stało, że nie opowiedziałeś mi o tym wszystkim wcześniej! Twój wspaniały talent doprawdy wpędził cię w niezwykajne tarapaty. Musisz już zdawać sobie sprawę, że nie przebywałeś na żadnym dworze, ale spędzałeś noce na cmentarzu, pośród grobów Heikè, i właśnie przed pamiątkowym pomnikiem Antoku Tenno, siedzącego na deszczu, znaleźli cię dziś nasi służący. Wszystko, co zdawało się ciebie otaczać, było iluzją — z wyjątkiem wezwania zmarłych. Posłuchawszy ich raz, oddałeś się w ich moc. Jeśli zaś po tym, co się już zdarzyło, znowu pójdziesz za wezwaniem, rozerwą cię na strzepy. Zresztą, prędzej czy później, i tak by cię zgładzili... Nie będę mógł zostać tu z tobą dzisiejszej nocy — poproszono mnie o odprawienie nabożeństwa. Lecz zanim odejdę, sprawię, aby ciało twe chroniły napisane na nim święte teksty.

Przed zachodem słońca bonza wraz ze swym pomocnikiem obnażyli Hoichiego i kaligrafując pędzelkami pokryli jego pierś i plecy, kończyny, ręce i stopy — nawet podeszwy stóp i wszystkie inne części ciała — tekstem świętej sutry *Hannya-Shin-Kyo* *. Gdy praca

* Taką nazwę w języku japońskim nosi mała *Pragna-Paramita-Hridaya-Sutra*. Obie, mała i duża sutry *Pragna-Paramita (Transcendentna Mądrość)* zostały przetłumaczone na język angielski przez niezującego już profesora Maxa Müllera i mieszczą się w woluminie XLIX dzieła *Sacred Books of the East (Buddhist Mahayana Sutras)*. Odnośnie magicznego używania tekstu, jak w opowiadaniu, warto nadmienić, że jego tematem jest Doktryna o Pustce Form, tzn. nierealny charakter wszystkich fenomenów i numenów: „Forma jest pustką, a pustka jest formą. Pustka nie różni się od formy, a forma nie różni się od pustki. To, co jest formą, jest pustką. To, co jest pustką, jest formą... Postrzeganie, imię, rozum i wiedza są także pustką... Nie ma oka, ucha, nosa, języka, ciała i mózgu... Lecz kiedy owa powłoka świadomości ulega unicestwieniu, wtedy on (szukający) staje się wolnym od strachu i wznosząc się ponad zmienność, radować się może ostateczną Nirwaną”.

została ukończona, duchowny udzielił Hoichiemu takich oto wskazówek:

— Wieczorem, gdy tylko odejdę, zasiądziesz na werandzie i będziesz czekał. Zostaniesz wezwany. Lecz, cokolwiek by się wydarzyło, nie odpowiadaj i nie poruszaj się. Nic nie mów i siedź bez ruchu, jak gdyby medytując. Jeśli poruszysz się lub uczynisz nawet najmniejszy hałas, zostaniesz rozerwany na strzępy. Nie przestrasz się i nie wołaj o pomoc, nikt bowiem pomóc ci nie jest w stanie. Jeżeli zrobisz dokładnie, jak mówię, niebezpieczeństwo przeminie i niczego już nie będziesz się musiał dłużej obawiać.

Po zapadnięciu zmroku bonza z pomocnikiem oddalił się, a Hoichi zasiadł na werandzie, stosując się do zaleceń duchownego. Obok siebie położył biwę i przyjąwszy pozycję medytacyjną zupełnie znieruchomiał, bacząc pilnie, by nie kaszlnąć i nie oddychać głośno. Siedział tak przez długie godziny.

Naraz od strony drogi usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Minęły furtkę, przeszły przez ogród, zatrzymały się — dokładnie na wprost niego.

— Hoichi! — zawołał tubalny głos, ale niewidomy wstrzymał oddech i dalej siedział bez ruchu.

— Hoichi! — posępnie zabrzmiał głos po raz wtóry, za trzecim zaś razem — groźnie: — Hoichi!

Hoichi siedział nieruchomy jak kamień, a głos zamruczał:

— Nie ma odpowiedzi! To za mało!... Trzeba zobaczyć, gdzie on się podział...

Rozległ się łoskot ciężkich kroków przemierzających werandę. Kroki przybliżyły się z wolna i zatrzymały tuż obok chłopca. Na długie minuty, podczas których Hoichi czuł, jak ciałem jego wstrząsa każde uderzenie serca, zapanowała martwa cisza.

— Oto i biwa — odezwał się wreszcie szorstki głos — lecz z grajka widzę tylko... dwoje uszu! A więc to jest wyjaśnienie, dlaczego nie odpowiadał. Nie ma ust, by mówić. Nic z niego nie pozostało, tylko uszy... Zaniosę je mojemu panu jako dowód, że cesarskie rozkazy zostały wykonane tak sumiennie, jak było to możliwe...

W tym samym momencie Hoichi poczuł, jak na jego uszach zacisnęły się żelazne palce i wyrwały je! Choć ból był ogromny, nie wydał nawet westchnienia. Ciężkie kroki oddaliły się wzdłuż werandy, zstąpiły do ogrodu, skierowały w stronę drogi i ucichły. Niewidomy czuł obfite, ciepłe strużki spływające po obu stronach głowy, lecz nie śmiał unieść rąk...

Przed wschodem słońca powrócił bonza. Natychmiast pośpieszył na werandę na tyłach świątyni i pośliznął się na czymś lepkiem. Wydał okrzyk grozy, w świetle latarni ujrzął bowiem, że owa lepkość była krwią. Zaraz jednak zobaczył Hoichiego w pozie medytacyjnej, a krew wciąż jeszcze sączyła się z jego ran.

— Mój biedny Hoichi! - wykrzyknął zaskoczony kapłan. — Co to znaczy? Czy jesteś ranny?

Na dźwięk głosu przyjaciela niewidomy poczuł się bezpieczny. Wybuchnął szlochem i przez łzy opowiedział swoją nocną przygodę.

— Biedny, biedny Hoichi! Wszystko to moja wina! Moja ubolewania godna wina! Na całym twym ciele zostały wykaligrafowane święte teksty — z wyjątkiem uszu. Powierzyłem swemu pomocnikowi tę część pracy i bardzo, bardzo źle się stało, iż nie upewniłem się, czy ją należycie wykonał!... No cóż, nic już nie można poradzić — możemy jedynie starać się jak najszybciej wyleczyć twe obrażenia... Głowa do góry, przyjacielu. Najważniejsze, że niebezpieczeństwo przeminęło na dobre. Nigdy już nie będziesz niepokojony przez twych gości.

Z pomocą dobrego lekarza Hoichi wnet został wyleczony. Opowieść o jego niezwykłej przygodzie rozeszła się szeroko i wkrótce uczyniła go sławnym. Wiele dostojnych osobistości przybywało do Akamagaseki, by usłyszeć jego recytację, i obdarowywało go wielkimi sumami pieniędzy. Stał się bogaty, lecz od czasu pamiętnej przygody znano go już pod przydomkiem Mimi-nashi-Hoichi — „Bezuchy Hoichi”.

OSHIDORI

W okręgu Tamura-no-Go, w prowincji Mutsu, mieszkał niegdyś sokolnik i myśliwy imieniem Sonjo. Jednego dnia wybrał się on na łowy, nic jednak nie upolował. Wracając do domu, w miejscu zwanym Akanuma spostrzegł pływającą po rzece parę *oshidori* * (kaczek mandarynek). Zabicie *oshidori* niczego dobrego nie wróży, tak się jednakże złożyło, iż Sonjo był bardzo głodny. Wymierzył do nich i strzała przeszła kaczora, zaś jego towarzyszka umknęła w stronę przeciwnego brzegu i zniknęła w sitowiu. Myśliwy zabrał martwego ptaka do domu i tam go ugotował.

W nocy nawiedził go ponury sen. Śnił, że ujrzał piękną kobietę, która weszła do jego izby, stanęła u wezłowia i zapłakała tak gorzko, iż słuchając tego płaczu czuł, jak gdyby ktoś wrywał mu z piersi serce. A kobieta czyniła mu wyrzuty: „Och, dlaczego? Dlaczego go zabiłeś? Jakiej zbrodni był winny? Byliśmy razem tak bardzo szczęśliwi, a ty go zabiłeś! Czy zrobił ci kiedykolwiek coś złego? Czy wiesz, co uczyniłeś, jakże okrutnego, jakże niegodziwego czynu dokonałeś? Mnie również zabiłeś, bowiem dalej żyć bez mego męża nie potrafię! Tylko po to, by ci to powiedzieć, przybyłam tu”. I znowu wybuchnęła płaczem, a brzmiąca w nim rozpacz zdawała się przeszywać Sonjo na wskroś, aż do szpiku kości. Szlochając, wyrecytowała słowa poematu:

Hi kukurèba
Sasoeshi mono wo —
Akanuma no
Makomo no kurè no
Hitori-nè zo uki!

*[Z nadejściem zmierzchu zaprosiłam go, by poszedł ze mną! A teraz śnić samotnie w cieniu sitowia w Akanuma - cóż to za żałość niewysłowiona.] ***

Wypowiedziawszy te wersy ponownie zwróciła się do niego: „Nie wiesz, nie możesz wiedzieć, cóż uczyniłeś! Lecz jutro, kiedy pójdziesz do Akanuma, zrozumiesz wszystko. Wszystko...” Po tych słowach, płacząc rozzdzierająco, odeszła.

Gdy Sonjo obudził się o świcie, tak żywe było wspomnienie snu, że poczuł się mocno zaniepokojony.

W pamięci utkwilo mu ostatnie zdanie: „Lecz jutro, kiedy pójdziesz do Akanuma, zrozumiesz wszystko. Wszystko...” Postanowił udać się tam bezzwłocznie, by przekonać się, czy jego sen był czymś więcej niż zwykłym snem.

Tak więc wyruszył do Akanuma, a kiedy stanął na brzegu rzeki, ujrzał samotnie pływającą *oshidori*. W tym samym momencie kaczka dostrzegła myśliwego, lecz zamiast rzucić się do ucieczki skierowała się prosto w jego kierunku, wpatrując się weń w niesamowity sposób. Naraz dziobem otworzyła swą pierś i zmarła na jego oczach...

Sonjo ogolił głowę i stał się mnichem.

* Od starożytności na Dalekim Wschodzie uważa się te ptaki za symbol miłości małżeńskiej.

** Trzeci wers ma podwójne znaczenie, gdyż sylaby tworzące nazwę *Akanuma* („Czerwone bagno”) można odczytać *akanu-ma*, co tłumaczy się „czas naszego nierozzerwalnego (lub szczęśliwego) związku”. Tak więc możliwa jest inna interpretacja: *Kiedy dzień chylił się ku końcowi, zaprosiłam go, by mi towarzyszył!...! A teraz, gdy czas naszego szczęśliwego związku przeminął, jakże żalnym losem jest śnić samotnie w cieniu sitowia. Makomo jest odmianą wysokiego sitowia, używanego do wyplatania koszyków.*

OPOWIEŚĆ O O-TEI

Przed wielu laty w mieście Niigata w prowincji Echizen mieszkał człowiek znany jako Nagao Chosei.

Jeszcze w dzieciństwie zaręczono go z córką jednego z przyjaciół ojca, dziewczyną o imieniu O-Tei, i obie rodziny ustaliły, że ślub odbędzie się, gdy tylko Nagao ukończy studia — jako syn lekarza on również przygotowywał się do tego zawodu. Ale O-Tei była wątłego zdrowia i w piętnastym roku życia zapadła na nieuleczalne suchoty. Kiedy uświadomiła sobie, iż wkrótce umrze, posłała po narzeczonego, by się z nim pożegnać, a gdy ukląkł przy niej, powiedziała:

— Nagao-Sama, mój umiłowany, byliśmy przyrzeczeni sobie od czasu dzieciństwa i pod koniec tego roku mieliśmy się pobrać. Ale ja umieram... Bogowie wiedzą, co dla nas jest najlepsze, gdybym bowiem żyła kilka lat dłużej, byłabym dla innych powodem nieustannych kłopotów i zmartwień, a mając tak mizernie ciało nie mogłabym być ci dobrą żoną. Nawet samo pragnienie, by żyć dłużej, byłoby — ze względu na twoje dobro — pragnieniem nader samolubnym. Pogodziłam się już z myślą o śmierci i życzę sobie, abyś mi obiecał, że nie będziesz się smucił. Chcę ci jeszcze powiedzieć jedno: mam przeczucie, iż znowu się spotkamy...

— Z całą pewnością tak się stanie — odrzekł Nagao z powagą — a w Krainie Czystości nie zaznamy już bólu rozstania.

— Nie, nie! — odpowiedziała cicho. — Nie miałam na myśli Krainy Czystości. Wierzę, że naszym przeznaczeniem jest spotkać się jeszcze raz na tym świecie... Chociaż jutro mnie pochowają...

Nagao spoglądał na nią zdumiony, a ona uśmiechnęła się widząc wyraz jego twarzy.

— Tak. Myślę, że jeszcze na tym świecie — ciągnęła łagodnym, sennym głosem — w twoim obecnym życiu, Nagao-Sama, jeśli naturalnie takie będzie twoje życzenie. Zanim to jednak nastąpi, ponownie muszę urodzić się jako mała dziewczynka i wyrosnąć na kobietę, a ty musiałbyś czekać. Piętnaście lat to długi czas, ale przecież, mój mężu przyrzeczony, masz teraz zaledwie lat dziewiętnaście...

Pragnąc gorąco złagodzić jej ostatnie chwile, Nagao odezwał się czule:

— Czekać na ciebie, moja najmilsza, będzie radością, nie obowiązkiem. Jesteśmy przeznaczeni sobie na czas siedmiu istnień.

— Lecz ty wątpisz? — spytała wpatrując się w niego.

— Moja miła - odrzekł. - Wątpię, czy zdołam cię rozpoznać w innej postaci, pod innym imieniem. Gdybyś mogła dać mi teraz jakiś znak, jakąś wskazówkę...

— Tego uczynić nie potrafię — tylko bogowie i buddy wiedzą, w jaki sposób i gdzie nastąpi spotkanie. Ale mam przeświadczenie, głębokie przeświadczenie, że jeśli nie będziesz temu niechętny, powrócę do ciebie... Pamiętaj o moich słowach... — Jej głos ucichł, a oczy przymknęły się. Umarła.

* * *

Nagao szczerze przywiązany był do O-Tei i śmierć dziewczyny przepeliła go wielkim smutkiem. Kazał zrobić pogrzebową tabliczkę z jej *zokumyo* *, umieścił ją w swym *butsu-*

* Buddyjski termin *zokumyo* („imię pospolite”) oznacza imię noszone w ciągu życia, w przeciwieństwie do *kaimyo* lub *homyo*, nadawanych po śmierci i pisanych na nagrobkach lub pogrzebowych tabliczkach umieszczanych w parafialnych świątyniach. Pewne uwagi na ten temat zawarłem w mojej rozprawie *The Literature of the Dead*, znajdującej się w tomie *Exotics and Retrospectives*.

dan * i codziennie składał przed nią ofiary. Wiele myślał o dziwnych rzeczach, które O-Tei mówiła w ostatnich chwilach życia, i w nadziei, że sprawi radość jej duszy, napisał uroczyste przyrzeczenie, iż poślubi ją, gdyby kiedykolwiek powróciła doń w innej postaci. Opatrzył owo pisemne ślubowanie pieczęcią i umieścił w *butsudan* obok pogrzebowej tabliczki O-Tei.

Ale powinnością Nagao, jako jedynego syna, było wstąpienie w związek małżeński. Wkrótce poczuł się zobowiązany do okazania posłuszeństwa rodzinie i zaakceptowania żony wybranej mu przez ojca. Po ślubie nie zaniedbał składania ofiar przed tabliczką O-Tei i nigdy nie wspominał jej inaczej niż z tkliwością. Stopniowo jednak wizerunek dziewczyny zacierał się w jego pamięci niczym sen, który trudno odtworzyć na jawie. A lata mijały.

W ciągu tych lat spadło nań wiele nieszczęść. Śmierć zabrała mu rodziców, potem żonę i jedyne dziecko. I tak pozostał na świecie sam. Postanowił wówczas opuścić swój ponury dom i wyruszył w długą podróż w nadziei, iż zapomni o bólu.

W trakcie podróży zawitał pewnego dnia do Ikao — wioski w górach do dziś słynącej z gorących źródeł i malowniczego położenia. Zatrzymał się w miejscowej gospodzie, gdzie do usługiwania mu przydzielono młodą dziewczynę. Ujrawszy jej twarz poczuł, że serce zabiło w nim nieznanym dotąd rytmem. Tak zadziwiająco podobna była do O-Tei, iż uszczypnął się, by upewnić się, że nie śni. Gdy wychodziła i powracała przynosząc ogień i posiłek, czy krzątała się sposobiacz izbę dla gościa — każdy jej gest, każdy ruch budził w nim wdzięczne wspomnienia dziewczyny, której przyrzeczony został w młodości. Przemówił do niej, a ona odpowiedziała łagodnym, czystym głosem, którego słodycz przejęła go smutkiem dawno minionych dni. Wielce zdumiony spytał wtedy:

— Starsza Siostró, tak bardzo podobna jesteś do osoby znanej mi przed wielu laty, że osłupiałem, gdy po raz pierwszy weszłaś do tej izby. Wybacz mi przeto, iż zapytam, skąd pochodzisz i jakie jest twoje imię.

Niezapomnianym głosem umarłej bezzwłocznie otrzymał takie wyjaśnienie:

— Nazywam się O-Tei, a ty, panie, jesteś Nagao Chosei z Echigo, mój przyrzeczony małżonek. Siedemnaście lat temu umarłam w Niigata, a ty uczyniłeś wówczas pisemne przyrzeczenie, że poślubisz mnie, gdybym kiedykolwiek powróciła na ten świat jako kobieta — opatrzyłeś je pieczęcią i umieściłeś w swym *butsudan* obok tabliczki z moim imieniem. Przeto wróciłam... — Wypowiedziawszy ostatnie słowa osunęła się w omdleniu.

Nagao poślubił ją, a małżeństwo to było szczęśliwe. Lecz nigdy już potem dziewczyna nie mogła przypomnieć sobie, jakiej odpowiedzi udzieliła na pytanie zadane jej w Ikao, nie mogła także przypomnieć sobie niczego z poprzedniego życia. Pamięć z wcześniejszego wcielenia, tajemniczo wskrzeszona w chwili spotkania, zatarła się i tak już pozostało.

UBAZAKURA

Trzysta lat temu w wiosce Asamimura w okręgu Onsegori w prowincji Iyo żył sobie dobry człowiek o imieniu Tokubei. Ów Tokubei był najbogatszą osobą w okręgu, a także — *muraosa*, czyli naczelnikiem wioski. Los sprzyjał mu niemal we wszystkim, z jednym wszakże wyjątkiem: osiągnął wiek czterdziestu lat nie zaznawszy radości ojcostwa. Strapiony brakiem dzieci, wraz z żoną wielokrotnie prosił o łaskę bóstwo Fudo-Myo-O, które miało sławną świątynię Saihoji w Asamimura.

Wreszcie modły zostały wysłuchane. Żona Tokubei powiła córkę. Dziewczynka była czarująca i otrzymała imię Tsuyu, a wykarmienie jej powierzono mamce O-Sodè, bowiem

** Domowa kapliczka buddyjska.

matczyne mleka nie stało.

O-Tsuyu wyrosła na prześliczną pannę, lecz w piętnastym roku życia ciężko zachorowała i lekarze orzekli, że wkrótce umrze. Mamka O-Sodè, która pokochała ją isticie macierzyńską miłością, całe dni spędzała w Saihoji modląc się żarliwie do Fudo-Samy, by wrócił jej zdrowie. Przez dwadzieścia jeden dni z rzędu chodziła do świątyni i modliła się, a pod koniec tego okresu O-Tsuyu niespodziewanie i całkowicie wyzdrowiała.

Wielka radość zapanowała w domu Tokubei — aby uczcić szczęśliwe zrządzenie losu wydano przyjęcie, na które zaproszono wszystkich przyjaciół. Lecz w tenże wieczór mamka O-Sodè nagle zaniemogła, a wezwany następnego ranka lekarz oświadczył, iż chwile jej są policzone.

Wówczas ogarnięta smutkiem rodzina zebrała się przy łożu konającej z zamiarem pożegnania jej, a ona oznajmiła im rzecz następującą:

— Nadeszła właściwa chwila, abyście dowiedzieli się o czymś, czego jeszcze nie wiecie. Wysłuchane zostały moje modlitwy — błagałam Fudo-Samę, by pozwolił mi umrzeć za O-Tsuyu, i wielka ta łaska na mnie spłynęła. Przeto smucić się moją śmiercią nie należy. Chciałabym jednak wyrazić pewne życzenie. Otóż ślubowałam Fudo-Samie, że w ogrodzie Saihoji posadzę drzewo wiśniowe jako ofiarę dziękczynną i pamiątkę tego wydarzenia. Ale sama już nie jestem w stanie tego dokonać i muszę was więc błagać o wypełnienie ślubu. Żegnajcie, drodzy przyjaciele, i pamiętajcie, że szczęściem było dla mnie oddać życie za O-Tsuyu.

Po pogrzebie rodzice dziewczyny posadzili w ogrodzie Saihoji najpiękniejsze młode drzewko wiśni, jakie mogli znaleźć. Rosło ono i rozwijało się wspaniale, a następnego roku, w szesnastym dniu drugiego miesiąca, w rocznicę śmierci O-Sodè, cudownie zakwitło.

I tak kwitło przez dwieście i czterdzieści cztery lata, zawsze w szesnastym dniu drugiego miesiąca, a jego kwiaty, różowe i białe, podobne były sutkom kobiecej piersi zroszonym kroplami mleka. A ludzie nazwali je *Ubazakura* — Wiśnia Karmiącej Kobiety.

DYPLOMACJA

Zgodnie z rozkazem miejscem egzekucji miał się stać ogród *yashiki*. Przyprawiono więc tam skazańca i zmuszono, by ukląkł na szerokim, wysypanym piaskiem placu, przeciętym rzędem równo ułożonych *tobi-ishi*, czyli kamieni używanych do wykładania ścieżek, jakie dotąd ujrzyć można w japońskich ogrodach krajobrazowych. Związano mu ręce na plecach, zaś czeladź przyniosła wodę w wiadrach i ryżowe worki wypełnione żwirem, którymi obłożono klęczącego mężczyznę tak ciasno, aby nie mógł się poruszyć. Przybył pan dworu i obserwował przygotowania. Uznał je widać za zadowalające, bowiem nie czynił żadnych uwag.

Nagle skazany wykrzyknął w jego kierunku:

— Czcigodny panie, przewinień, które ściągnęły na mnie karę, nie dopuściłem się rozmyślnie. Ich przyczyną jest moja wielka głupota. Urodziwszy się głupim, ze względu na mą karmę *, nie zawsze mogłem ustrzec się przed popełnianiem błędów. Ale zabić człowieka z powodu jego głupoty jest niegodziwością, a za niegodziwość przyjdzie zapłacić. Zemsta zrodzi się z oburzenia na niesprawiedliwość, jakiej się dopuściłeś. Zło odciśnie się złem!

* *Karma*, sansk. *karman* — w hinduizmie i buddyzmie suma uczynków popełnionych w jednej egzystencji, która determinuje losy ludzkie w kolejnej reinkarnacji (przyj. red.)

Jeżeli ktoś jest zgładzony w stanie silnego wzburzenia wywołanego poczuciem krzywdy, jego duch zdolny jest wziąć odwet na zabójcy. O tym samuraj wiedział, odparł więc bardzo łagodnie, niemal z czułością:

— Zezwalamy ci straszyć nas do woli... Po śmierci. Z trudnością przysłoby ci jednak przekonać nas, iż sam wierzysz w to, co mówisz. A może spróbowałbyś dać nam jakiś znak świadczący o twym wielkim wzburzeniu, gdy twoja głowa zostanie odcięta?

— Dam z całą pewnością - odrzekł skazany.

— Doskonale — powiedział samuraj, dobywając długiego miecza. — Za chwilę zabiję cię. Dokładnie przed tobą leży kamień. Gdy głowa twoja spadnie, spróbuj go ugryźć. Jeśli zagniewany duch pomoże ci tego dokonać, niektórzy spośród nas być może się przestraszą. Czy spróbujesz ugryźć ten kamień?

— Ugryzę go! Ugryzę go! Ugryzę go! — krzyknął z furją skazaniec.

Błysk, świst i głuchy chrzęst. Spętane ciało osunęło się na ryżowe worki, z uciętej szyi trysnęły dwa długie strumienie krwi, a głowa potoczyła się na piasku. Mozolnie toczyła się w kierunku kamienia i naraz, odbiwszy się, schwyciła kurczowo zębami górną jego krawędź i tak zastygła na moment, po czym bezwładnie opadła.

Nikt nie odezwał się ani słowem, lecz wszyscy z grozą wpatrywali się w swego pana. On jednak zdawał się niczym nie przejmować — podał miecz najbliższemu stojącemu słudze, a ten polał wodą z drewnianego czerpaka ostrze od rękojeści po sam szpic i pieczołowicie wytarł je kilkakrotnie arkuszami miękkiego papieru. Taki oto był koniec rytualnej części tego wydarzenia.

Przez następne miesiące czeladź i domownicy żyli w ustawicznym strachu przed upiornymi odwiedzinami, w nadejście obiecanej zemsty nikt bowiem nie wątpił. Nieustanny lęk doprowadził do tego, iż słyszeli i widzieli rzeczy, których w rzeczywistości nie było. Obawiali się szumu wiatru w bambusach, a nawet przesuwających się w ogrodzie cieni. Aż wreszcie, wspólnie się naradziwszy, postanowili prosić pana o pozwolenie na odprawienie nabożeństwa *Sègaki* za pokój mściwego ducha.

— To całkiem zbyteczne — powiedział samuraj, gdy dowódca służby dworskiej przekazał mu ogólne życzenie. — Zdaję sobie sprawę, że żądza zemsty u umierającego człowieka może wzbudzić przerażenie, w tym jednak przypadku nie ma się czego bać.

Dworzanin utkwiał w nim proszący wzrok, lecz nie śmiał spytać o wytłumaczenie owego zdumiewającego przeświadczenia.

— Ach, przyczyna jest doprawdy prosta — oświadczył samuraj, odgadując myśli swego poddanego. — Tylko ostatnie pragnienie tego człowieka mogło być niebezpieczne, ale kiedy sprowokowałem go do dania mi znaku, odwróciłem jego uwagę od zemsty. Umierając pragnął tylko ugryźć kamień, a o reszcie z całą pewnością zapomniał. Nie ma już powodów do dalszych obaw w tym względzie.

I rzeczywiście. Nieboszczyk nie sprawił żadnych kłopotów i nic niezwykłego się nie wydarzyło.

O ZWIERCIADLE I DZWONIE

Osiem stuleci temu kapłani z Mugenyama w prowincji Totomi postanowili ufundować dzwon dla swej świątyni, poprosili więc kobiety z parafii, by wsparły ich zamiar ofiarując na przetopienie stare zwierciadła z brązu.

[Jeszcze dziś na podwórzach niektórych japońskich świątyni zobaczyć można stopy

starych zwierciadeł z brązu oddanych na podobny cel. Największe ich nagromadzenie, jakie dotąd zdarzyło mi się widzieć, znajduje się na dziedzińcu świątyni sekty Jodo w Hakata na wyspie Kiusiu. Zostały one zebrane dla wykonania brązowej statui Amidy, wysokiej na trzydzieści trzy stopy].

W tamtych czasach w Mugenyama żyła młoda zamężna wieśniaczka, która także ofiarowała swe zwierciadło na odlanie dzwonu, lecz natychmiast postępku tego pożałowała. Przypomniła sobie, co o tym zwierciadle opowiadała jej matka, i to, że należało ono również do babki i prababki; przywoływała wspomnienia uśmiechów szczęścia, jakie w nim się odbijały. Gdyby zaproponowała kapłanom pewną sumę pieniędzy, bez wątpienia mogłaby poprosić o zwrot dziedzictwa, ale takiej sumy nie posiadała. Ilekroć udawała się do świątyni, widziała swoje zwierciadło pośród setek innych, leżących na stosie za ogrodzeniem. Rozpoznawała je po *Sho-Chiku-Bai* na reliefie, motywie trzech symboli pomyślności - Sosny, Bambusa i Kwiatu Śliwy — które zachwyciły jej dziecinne oczy, gdy po raz pierwszy ujrzała zwierciadło w rękach matki. Marzyła o sposobności wykradzenia go i ukrycia, by móc już na zawsze nim się cieszyć, lecz taka sposobność się nie nadarzyła. Wielce była nieszczęśliwa, zdawało jej się, że bezmyślnie pozbyła się części swego życia. Rozmyślała o starym powiedzeniu, iż zwierciadło jest Duszą Kobiety — powiedzeniu mistycznie wyrażonym przez chiński hieroglif oznaczający Duszę, spotykany na reliefach wielu brązowych zwierciadeł — i ogarniał ją niepokój, czuła, że dotyczyło jej ono w jakiś tajemny, wyjątkowy sposób. Z nikim jednak nie śmiała porozmawiać o swym cierpieniu.

Ale kiedy wszystkie zwierciadła zebrane na dzwon w Mugenyama wysłano do odlewni, ludwisarze spostrzegli, że jedno z nich nie chciało się stopić. Raz po raz ponawiali próby, lecz ono skutecznie opierało się wszelkim ich wysiłkom. Bez wątpienia kobieta, która oddała je świątyni, musiała uczynku tego żałować. Nie złożyła ofiary z całego serca, a jej samolubna dusza, wciąż do zwierciadła przywiązana, utrzymywała je twardym i zimnym we wnętrzu rozpalonego pieca.

Naturalnie wieść o tym rozniosła się szeroko i wkrótce każdy już wiedział, czyją własnością było zwierciadło, które nie chciało się stopić. Publiczne wyjawienie głęboko skrywanej tajemnicy wzbudziło w biednej winowajczyni uczucie wielkiego wstydu i gniewu. Nie chcąc dalej znosić tej hańby, utopiła się, przedtem jednakże napisała pożegnalny list, zawierający takie oto słowa:

„Kiedy umrę, stopienie zwierciadła i odlanie dzwonu nie będzie dłużej sprawiać trudności. Lecz ten, kto bijąc w ów dzwon zniszczy go, zostanie przez mojego ducha obdarowany wielkim bogactwem”.

Trzeba wam wiedzieć, że powszechnie wierzy się, iż ostatnia wola lub obietnica człowieka, który umiera w gniewie lub w gniewie popełnia samobójstwo, posiada moc nadprzyrodzoną. Kiedy więc zwierciadło zostało stopione, a dzwon bez przeszkód odlany, ludzie przypomnieli sobie treść listu. Przeświadczeni, że duch nieboszczki obdarzy sprawcę rozbicia dzwonu majątkiem, tłumnie udali się do świątyni, by weń bić. Bili ze wszystkich sił, lecz dzwon okazał się nad wyraz solidny i dzielnie znosił ich ataki. Nie zniechęcano się jednak tak łatwo — nie zważając na protesty kapłanów z furią dzwoniło dzień po dniu, o każdej godzinie. Hałas stał się prawdziwym dopustem i dłużej nie mogąc go już znieść, duchowni stoczyli dzwon ze wzgórza prosto w głębokie bagno, które pochłonęło go po wsze czasy. Taki oto był koniec owego dzwonu — pozostała jedynie legenda, a w niej nosi on nazwę *Mugen-Kanè*, czyli Dzwon Mugen.

*

Wśród dawnych japońskich przesądów niezwykła jest wiara w magiczną skuteczność pewnych praktyk wymagających użycia wyobraźni. Praktyki te obejmuje, choć w pełni nie wyjaśnia ich istoty, czasownik *nazoraeru*. Ścisłe jego przetłumaczenie nie jest możliwe,

bowiem stosuje się go zarówno w odniesieniu do wielu rodzajów magii homeopatycznej i kontaktowej, jak i w związku z dopełnieniem rozmaitych religijnych aktów wiary. W codziennym użyciu — tak jak podają słowniki — *nazoraeru* znaczy „imitować”, „przyporównywać” i „upodabniać”, lecz w znaczeniu ezoterycznym — „zastąpić coś w wyobraźni jakimś innym przedmiotem lub uczynkiem, aby uzyskać magiczny lub cudowny efekt”.

A oto przykłady. Kiedy nie stać cię na wybudowanie świątyni buddyjskiej, możesz przed wizerunkiem Buddy położyć kamyk z takim samym pobożnym uczuciem, jakie natchnęłoby cię do jej wzniesienia, gdybyś był dostatecznie bogaty. Wartość ofiarowanego w tym duchu kamyka jest równa — lub prawie równa — zasłudze postawienia świątyni... Nie jesteś w stanie przeczytać sześciu tysięcy siedmuset siedemdziesięciu jeden woluminów pism buddyjskich, lecz możesz sporządzić obrotową bibliotekę zawierającą je i wprawić w ruch niczym kołowrót. Jeżeli obracasz ze szczerym pragnieniem przeczytania owych sześciu tysięcy siedmuset siedemdziesięciu jeden woluminów, zasłużysz na nagrodę, do której upoważniłoby cię faktyczne ich przestudiowanie. Być może, tyle wystarczy, by wyjaśnić religijne znaczenie słowa *nazoraeru*.

Bez większej ilości rozmaitych przykładów nie da się natomiast objaśnić jego wszystkich znaczeń magicznych. Dla naszych celów posłużę się jednak zaledwie kilkoma. Gdybyś wykonał ze słomy figurkę wyobrażającą człowieka — w tym samym zamiarze, w jakim Siostra Helena ulepiła ją z gliny — i przybił w Godzinę Wołu do jednego z drzew w gaju świątyni gwoździami nie krótszymi niż pięciocalowe, i jeżeli osoba wyobrażana przez ową kukiełkę zmarłaby w okropnych męczarniach, ilustrowałoby to jedno ze znaczeń *nazoraeru*... Albo przypuśćmy, że rabuś wkradł się do twego domu w nocy i uniósł z sobą kosztowności. Gdy odkryjesz ślady w ogrodzie i bez chwili zwłoki spalisz na nich sporo trawy, jego stopy zaognią się i nie zagna on wytchnienia, dopóki sam z własnej, nieprzymuszonej woli nie powróci i nie zda się na twoją łaskę. To postępowanie byłoby przykładem na drugi rodzaj magii objętej terminem *nazoraeru*, trzeci zaś przynoszą różne legendy o Mugen-Kanè.

*

Kiedy dzwon stoczył się w bagno, zniknęła naturalnie szansa na jego rozbicie. Ale ludzie, którzy nie chcieli pogodzić się z utratą sposobności zdobycia majątku, dalej pastwili się nad najrozmaitszymi przedmiotami w wyobraźni utożsamianymi z dzwonem, nie tracąc nadziei, iż uradują duszę właścicielki zwierciadła, które przysporzyło tak wielu kłopotów. Wśród nich była kobieta o imieniu Umègae, uwieczniona w japońskiej tradycji dzięki pokrewieństwu z samurajem Heikè, Kajiwarą Kagèsuè. Pewnego razu, gdy oboje wspólnie podróżowali, Kajiwara znalazł się w poważnych tarapatkach finansowych. Umègae przypomniała sobie wówczas legendę o Dzwonie Mugen, wzięła misę z brązu i wyobraziwszy sobie, iż był to ów dzwon, waliła w nią, póki wreszcie nie pękła. W tym właśnie momencie zawołała o trzysta sztuk złota. Pewien gość, który bawił akurat w zajeździe, zapytał o przyczynę hałasu i krzyku — a poznawszy całą historię, podarował jej trzysta *ryo* w złocie. O brązowej misie Umègae ułożono później piosenkę i po dziś dzień śpiewana jest ona przez tancerki:

Umègae no chozubachi tataitè
O-kanè ga dèru naraba,
Mina San mi-ukè wo
Sorè tanomimasu.

[Jeżeli uderzając w misę Umègae otrzymałabym uczciwe pieniądze, kupiłabym wolność swym przyjaciółkom.]

Po tym wydarzeniu Mugen-Kanè stał się bardzo sławny i wielu ludzi naśladowało Umègae, pragnąc rywalizować z jej szczęściem. Należał do nich pewien rozwinął wieśniak, który mieszkał na brzegu Oigawy, niedaleko Mugenyama. Zmarnotrawiłszy majątek na hulanki,

ulepił w ogrodzie z błota model dzwonu i zniszczył go domagając się gromko wielkiego bogactwa.

Wtedy jak spod ziemi wyrosła przed nim postać kobiety o rozpuszczonych włosach, odzianej w białe szaty, w dłoniach trzymającej zakryty garniec. „Przybyłam, by wynagrodzić twą żarliwą modlitwę tak, jak ona na to zasługuje — powiedziała. — Przyjmij ów garniec”. Wręczwszy go wieśniakowi zniknęła, a ten uszczęśliwiony, pobiegł żywo do domu, aby czym prędzej podzielić się ze swą żoną dobrą nowiną. Postawił przed nią garniec, który doprawdy był ciężki, i oboje wspólnie go otworzyli. Okazało się wówczas, iż po same brzegi wypełniony on był...

Lecz nie! Doprawdy powiedzieć wam nie mogę, czym był on wypełniony...

JIKININKI

Przemierzając pewnego razu prowincję Mino, kapłan sekty Zen, Muso Kokushi, zabłądził w górach, gdzie nie było nikogo, kto mógłby wskazać mu właściwą drogę. Długo krążył bezradnie po okolicy i już zaczynał martwić się o schronienie na noc, gdy naraz na szczycie wzgórza dojrzał w blasku zachodzącego słońca jedną z owych maleńkich pustelni zwanych *anjitsu*, jakie buduje się dla mnichów samotników. Choć wyglądała na rozpadającą się, pośpieszył tam żwawo i odkrył, iż zamieszkiwał ją wiekowy mnich. Poprosił o nocleg, jednakże starzec szorstko odmówił i skierował go do pewnej osady w sąsiedniej dolinie, w której miał dostać schronienie i posiłek.

Muso został uprzejmie przyjęty w domostwie sołtysa małej, liczącej niecały tuzin zagród osady. W chwili, gdy tam przybył, w głównej izbie znajdowało się jakieś czterdzieści-pięćdziesiąt osób, ale jego zaprowadzono do osobnego pokoiku, gdzie natychmiast przygotowano dlań pożywienie i postanie. Będąc wielce strudzonym, wcześniej udał się na spoczynek. Tuż przed północą zbudził go ze snu odgłos szloch, dobiegający z sąsiedniej izby. W tym samym momencie cicho rozsunęły się drzwi i pojawił się w nich młody człowiek z zapaloną latarnią. Pozdrowił kapłana i powiedział:

— Wielebny ojcze, moim bolesnym obowiązkiem jest powiadomić cię, że teraz ja jestem gospodarzem w tym domu, choć jeszcze wczoraj byłem tylko najstarszym synem. Kiedy przybyłeś tu tak strudzony, nie chcieliśmy, byś z jakiegokolwiek powodu czuł się skrępowany, przeto nie powiadomiliśmy cię, iż mój ojciec zmarł kilka godzin temu. Ludzie, których widziałeś w głównej izbie są mieszkańcami tej wioski — zebrali się, by złożyć ostatni hołd umarłemu, teraz zaś udają się do innej wioski, odległej stąd o jakieś trzy mile, bowiem zgodnie z obyczajem nikt z nas nie może przebywać tu w nocy, w której kogoś zabierze śmierć. Składamy stosowne ofiary i odprawiamy modły, lecz później odchodzimy. W domu, w którym tak oto pozostawiamy zwłoki, dzieją się zawsze dziwne rzeczy, sądzę więc, że lepiej będzie, gdy udasz się z nami. Znajdziemy ci dobry nocleg w sąsiedniej wiosce. Być może jednak, iż jako kapłan nie obawiasz się demonów czy złych duchów — jeśli nie lękasz się pozostać tu sam z ciałem zmarłego, uprzejmie proszę — korzystaj z tego ubożego domostwa do woli. Muszę ci jednak oznajmić, że nikt z wyjątkiem osoby duchownej nie odważyłby się na to tej nocy.

— Za serdeczną troskliwość i wielkoduszną gościnność jestem głęboko ci wdzięczny — odpowiedział Muso. — Niemniej żałuję, że nie wspomniałeś mi o śmierci ojca, gdy przyszedłem, bowiem nie byłem aż tak strudzony, by nie móc dopełnić mych obowiązków kapłańskich. Gdybym o tym wiedział, odprawiłbym przed waszym odejściem nabożeństwo, ponie-

waż jednak stało się, jak się stało, odprawię je po waszym wyjściu i będę czuwał przy zmarłym aż do świtu. Nie wiem, jak rozumieć twe słowa o niebezpieczeństwie, jakim grozi przebywanie tu samemu, lecz nie lękam się ani upiorów ani demonów. Proszę więc, byście i wy o mój los się nie obawiali.

Młodzieniec wydawał się być uradowany tymi zapewnieniami i w odpowiedni sposób wyraził wdzięczność. Po chwili inni członkowie rodziny i ludzie zebrani w przyległej izbie, powiadomieni o łaskawych obietnicach duchownego, przyszli, by mu podziękować. Na koniec przemówił pan domu:

— A teraz, wielbny ojcze, choć niezmiernie żałujemy, że pozostawiamy cię samego, musimy się pożegnać. Według prawa obowiązującego w naszej wsi nikt z nas nie może przebywać tu po północy. Błagamy cię, dobry panie, byś raczył sam zająć się swoją czcigodną osobą, bowiem my nie będziemy w stanie ci usłużyć. Jeżeli podczas naszej nieobecności zdarzy ci się usłyszeć lub zobaczyć coś niezwykłego, prosimy, abys nam o tym opowiedział, gdy powrócimy rankiem.

Gdy wszyscy opuścili dom, Muso udał się do izby, gdzie spoczywały zwłoki. Leżały przy nich tradycyjne ofiary i płonąła mała buddyjska lampka *tomyo*. Odprawił nabożeństwo i dopełnił obrządku pogrzebowego, po czym pogrążył się w medytacjach. Tak przeminęło kilka godzin i żaden odgłos z wyludnionej wioski nie zakłócał spokoju. Lecz kiedy nadeszła ta pora nocy, kiedy cisza jest najgłębsza, do izby bezszelestnie wślizgnęło się Widmo — mgliste i olbrzymie, a Muso poczuł, iż nagle utracił wszelką zdolność poruszania się czy przemawiania. Patrzył tylko bezsilnie, jak Widmo unosi oburącz ciało zmarłego i pochłania je, poczynając od głowy, wraz z włosami, kośćmi, a nawet całunem — szybciej niż kot pożera szczura. Uporawszy się ze zmarłym, owo potworne Coś zabrało się do ofiar. Potem odeszło — równie tajemniczo i cicho jak się pojawiło.

Powróciwszy o świcie, wieśniacy ujrzeli kapłana oczekującego ich na progu domostwa. Pozdrowili go kolejno, a kiedy weszli do środka, nikt nie okazał zdziwienia z powodu zniknięcia ciała i ofiar.

— Wielbny ojcze — zwrócił się pan domu do Muso — prawdopodobnie ujrzawsz tu rzeczy niemiłe oku. Wszyscy lękaliśmy się o ciebie, ale teraz szczęśliwi jesteśmy znajdując cię całym i zdrowym. Gdyby było to możliwe, chętnie pozostalibyśmy z tobą, jednakże prawo obowiązujące w naszej wiosce — jak powiedziałem ci wczoraj wieczorem — każe nam opuścić swe domy, gdy zawita tu śmierć. Ilekroć zostało ono złamane, przychodziło nieszczęście; kiedy się doń stosujemy, nieodmiennie odkrywamy, że podczas naszej nieobecności zwłoki znikają. Być może poznałeś rozwiązanie tej zagadki?

Wtedy Muso opowiedział im o mrocznym i przerażającym Widmie, które nawiedziło izbę śmierci i pochłonęło umarłego i ofiary, lecz żaden ze słuchaczy nie wydawał się zdumiony tą historią.

— To, o czym dowiedzieliśmy się od ciebie, wielbny ojcze — odezwał się młodzieniec — pokrywa się z tym, co mówi się o owej tajemnicy od dawien dawna.

— Czy mnich ze wzgórza nigdy nie odprawia nabożeństw pogrzebowych za waszych zmarłych? — spytał wtedy Muso.

— Jaki mnich?

— Mnich, który wczoraj przed zmierzchem przysłał mnie do waszej wioski. Trafiłem do jego *anjitsu* na wzgórzu, lecz on odmówił mi gościny i wskazał drogę tutaj.

Wieśniacy spojrzeli po sobie zdumieni, a po chwili milczenia gospodarz powiedział:

— Wielbny ojcze, nie ma żadnego mnicha ani *anjitsu* na wzgórzu. Od wielu pokoleń w okolicy tej nie zamieszkiwał żaden duchowny.

Oczywiste było, że uprzejmi gospodarze sądzili, iż zwiódł go jakiś upiór, toteż Muso więcej już nic na ten temat nie mówił. Pożegnawszy się i uzyskawszy wskazówki, jak iść dalej, postanowił jednak odszukać pustelnię i przekonać się, czy doprawdy padł ofiarą ułudy.

Bez trudu odnalazł *anjitsu*, a tym razem zaproszony został do środka. Gdy wszedł, jej wiekowy lokator skłonił się pokornie i wykrzyknął: — Och! Tak mi wstyd! Tak bardzo wstyd! Tak niezmiernie wstyd!

— Nie potrzebujesz wstydzić się, iż odmówiłeś mi noclegu — rzekł Muso. — Wskazałeś mi przecież drogę do wioski nie opodal, gdzie potraktowano mnie nad wyraz uprzejmie. Należą ci się raczej słowa podziękii za grzeczność, jaką mi wyświadczyłeś.

— Nie mogę udzielić schronienia żadnej ludzkiej istocie — odpowiedział pustelnik — i nie to jest powodem mego wstydu. Wstydzę się dlatego, że ujrzałeś mnie w prawdziwej postaci, gdyż ja właśnie byłem tym, który zeszłej nocy pożarł na twoich oczach zwłoki i ofiary. Wiedz, wielbny ojcze, iż jestem *jikininki* * — pożeracz trupów. Ulituj się nade mną i pozwól wyznać tajemne przewinienie, za jakie zostałem zdegradowany do takiego stanu:

Dawno, bardzo dawno temu byłem kapłanem w tych odludnych stronach, jedynym duchownym w promieniu wielu mil. W tamtych czasach zmarłych mieszkańców gór przynoszono do mnie niekiedy nawet z odległych okolic, bym w ich intencji odprawił święte nabożeństwo. Lecz odmawianie modlitw i celebrowanie obrządków uważałem tylko za świetny interes — myślałem o jadle i przyodziewku, których zdobycie ułatwiał mi mój duchowny zawód. Moja samolubna bezbożność stała się przyczyną tego, że zaraz po śmierci odrodziłem się jako *jikininki* i od tamtego czasu żeruję na zwłokach ludzi z tych okolic. Każde ciało pożreć muszę tak, jak to widziałeś zeszłej nocy... A teraz, wielbny ojcze, pozwól mi błagać cię o odprawienie za mnie nabożeństwa *Sègaki* **. Usilnie proszę, pomóż mi swymi modłami oswobodzić się z pętów tej straszliwej egzystencji...

Gdy tylko wypowiedział tę prośbę, znikł, a w tym samym momencie zniknęła także jego pustelnia. Muso Kokushi spostrzegł, iż klęczy sam pośród wysokiej trawy, tuż obok starożytnego, porośniętego mchem pomnika o kształcie zwanym *go-rinishi* ***, który z całą pewnością był nagrobkiem mnicha.

MUJINA

Ulica Akasaka w Tokio wznosi się w pewnym miejscu stromo w górę, a pochyłość ta zwana jest — nie wiem dlaczego — „Zboczem Prowincji Kii” (*Kii-no-kuni-zaka*). Po jednej stronie ujrzyć tam można starożytną fosę, głęboką i bardzo szeroką, o wysokich, zielenią porośniętych zboczach sięgających terenów ogrodowych, a po drugiej ciągną się długie i wysokie mury cesarskiego pałacu. Zanim nastąpiła epoka ulicznych latarni, okolica ta po zapadnięciu zmroku wyludniała się — spóźnieni przechodnie woleli raczej nałożyć wiele mil drogi, niż wspinać się po *Kii-no-kuni-zaka* po zachodzie słońca.

Wszystko z powodu *Mujiny*, który zwykł się tędy przechadzać.

Po raz ostatni *Mujinę* widział stary kupiec z dzielnicy *Kyobashi*, zmarły przed mniej

* Dosłownie: upiór-ludożerca. Japoński narrator podaje również termin używany w sanskrycie — *Rakshasa* — lecz tak jak i *jikininki* jest on dosyć nieprecyzyjny, istnieje bowiem wiele rodzajów *Rakshasa*. Wydaje się, że określenie *jikininki* odnosi się tu do przedstawiciela grupy *Baramon-Rasetsu-Gaki*, tworzącej dwudziestą szóstą klasę *pret* „głodnych duchów” wyszczególnionych w starych buddyjskich księgach.

** Nabożeństwo *Sègaki* jest specjalnym obrzędkiem buddyjskim, odprawianym w intencji istnień, które zdegradowane zostały do stanu *gaki* (pret). Krótki opis takiego nabożeństwa zamieściłem w mej książce *Japanese Miscellany*.

*** Dosłownie: „kamień pięciu sfer” (lub „kamień pięciu stref”). Pomnik nagrobkowy zbudowany z pięciu nałożonych jedna na drugą części — z których każda ma inny kształt — symbolizujących pięć mistycznych żywiołów: Eter, Powietrze, Ogień, Wodę i Ziemię.

więcej trzydziestu laty. A oto historia, jaką opowiedział o tym spotkaniu: Pewnej nocy o późnej godzinie pośpiesznie szedł w górę Kii-no-kuni-zaka i nagle, nie opodal fosy, zauważył skuloną kobietę, samotną i zapłakaną. W obawie, iż zamierzała się utopić, zatrzymał się, by w miarę swych możliwości służyć jej pomocą lub pocieszeniem. Wyglądała na szczupłą, pełną wdzięku, elegancko ubraną osobę, a jej włosy uczesane były jak u młodych dziewcząt z dobrych domów, „O-jochu!” * — wykrzyknął, podchodząc do niej. „O-jochu, nie płacz tak! Opowiedz mi o swym strapieniu, a jeżeli będę mógł ci jakoś pomóc, uczynię to z radością”. Mówił to szczerze, był bowiem dobrym człowiekiem, lecz ona dalej płakała gorzko, zasłaniając twarz długim rękawem. „O-jochu — odezwał się ponownie, najłagodniej jak tylko potrafił. — Proszę, posłuchaj mnie!... To nie jest miejsce odpowiednie dla młodej kobiety i to w dodatku w nocy! Nie płacz, błagam, tylko powiedz, w czym mogę ci pomóc!” Wtedy dziewczyna wolno się podniosła, ale, odwrócona doń plecami, dalej lamentowała i szlochała skrywając twarz. Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu i nalegał: „O-jochu! O-jochu! O-jochu!... Wysłuchaj mnie choć przez moment!... O-jochu!” I wówczas ta O-jochu obróciła się ku niemu, opuściła rękaw i dotknęła ręką twarzy — a na niej nie było ani oczu, ani nosa, ani ust. Na ten widok mężczyzna wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do ucieczki.

Biegł co tchu w górę Kii-no-kuni-zaka, a przed nim roztaczała się tylko ciemność i pustka. Biegł nie śmiać obejrzeć się, aż wreszcie dojrzał latarnię — tak odległą, że wyglądała jak migotanie świetlika — i ku niej się skierował. Okazało się, iż była to latarnia wędrownego sprzedawcy *soba* **, który rozłożył swój kram tuż przy drodze, ale po takim przeżyciu każde światło i każde ludzkie towarzystwo było dobre. Padł na ziemię u stóp handlarza krzycząc: „Aa! Aa!! Aa!!!”

„*Kore! Kore!* — usłyszał szorstki głos. — Hej! Co się z panem dzieje? Ktoś na pana napadł?”

„Nie, nikt na mnie nie napadł — odrzekł z trudem chwytnym oddech — tylko...”

„Tylko przestraszył pana, tak? — spytał kramarz bez cienia współczucia. - Rabusie?”

„Nie rabusie, nie rabusie — wysapał przerażony mężczyzna. — Widziałem kobietę... przy fosie... i pokazała mi... Aa! Nie mogę powiedzieć, co mi pokazała!...”

„A może pokazała panu coś takiego jak TO?” — wykrzyknął ów sprzedawca *soba*, ukazując swoją twarz, która stała się nagle podobna do jajka. W tym samym momencie światło zgasło.

ROKURO-KUBI

Blisko pięćset lat temu, w służbie u księcia Kikuji z Kiusiu był samuraj Isogai Hèidazaemon Takètsura. Ów Isogai odziedziczył po licznych przodkach, także rycerskiego stanu, wrodzony talent do wojennego rzemiosła i niepospolitą siłę. Już jako chłopiec prześcignął swych nauczycieli w sztuce szermierczej, w strzelaniu z łuku i we władaniu włócznią, i miał wszystkie zalety odważnego i zręcznego żołnierza. Później wyróżnił się podczas wojen Eikyo *** i spłynęły nań wielkie zaszczyty. Wraz z upadkiem domu Kikuji dobiegła jednak kresu jego służba. Bez trudu mógł przejść pod rozkazy innego *daimyo*, lecz ponieważ w sercu pozostał wierny dawnemu panu, a sam nigdy nie szukał chwały wyłącznie dla siebie, bez żalu

* *O-jochu* („Szanowna panienko”) — grzeczna forma zwracania się do nieznanym młodej dziewczyny.

** *Soba* jest potrawą z gryki, nieco przypominającą vermicelli.

*** Epoka Eikyo trwała od roku 1429 do 1441.

zrezygnował z blasków doczesnego świata. Ogolił głowę i stał się wędrownym kapłanem, przybierając buddyjskie imię Kwairyo.

Pod kapłańskim *koromo* * nie przestało jednakże bić w jego piersi serce samuraja. I tak, jak za dawnych lat drwił on z niebezpieczeństw, tak i teraz nimi pogardzał, i w każdą pogodę, o każdej porze roku podróżował, by głosić dobre Prawo w stronach, dokąd żaden inny duchowny nie odważyłby się zapuścić. Czasy te bowiem były czasami przemocy i chaosu, a drogi bynajmniej nie należały do bezpiecznych dla samotnego wędrowca, choćby nawet był on kapłanem.

Podczas pierwszej długiej wyprawy Kwairyo odwiedził prowincję Kai. Kiedy pewnego razu przemierzał górzystą część owej prowincji, w odludnej okolicy, wiele mil od najbliższej wioski zaskoczył go zmrok. Chcąc nie chcąc, musiał więc spędzić noc pod gołym niebem i znalazłszy odpowiednie, trawą porośnięte miejsce nie opodal drogi, położył się i przysposobił do snu. Zawsze z zadowoleniem znosił niewygody i nawet goła skała była dlań dobrym posłaniem, a korzeń sosny doskonałą poduszką. Ciało miał jak ze stali i nigdy nie przejmował się rosą i deszczem, szronem i śniegiem.

Ledwo zdążył się ułożyć, gdy drogą nadszedł mężczyzna niosący siekiere i duże naręcze dREW. Spostrzegłszy Kwairyo przystanął i chwilę przypatrywał się mu w milczeniu, po czym odezwał się tonem wielkiego zdziwienia:

— Musisz być nie byle kim, dobry panie, skoro masz śmiałość spać samotnie w takim miejscu. Okolica ta jest nawiedzana przez całe zastępy upiorów — czyżbyś nie lękał się Włochatych Istot?

— Mój przyjacielu — wesoło odrzekł Kwairyo. — Jestem tylko wędrownym kapłanem, „Gościem chmur i deszczu” — jak mówią ludzie, *Unsui-no-ryokaku*, a Włochatych Istot nie obawiam się w najmniejszym stopniu, jeśli masz na myśli upiory w skórce lisów, borsuków, czy też inne stworzenia tego rodzaju. Zaś co do samotnych miejsc, lubię je, są bowiem stosowne do medytacji. Zwykłem sypiać na świeżym powietrzu i nauczyłem się nigdy nie trwożyć o swoje życie.

— Doprawdy, trzeba być odważnym człowiekiem, wielebny panie, by tu leżeć! — powiedział drwał. — Miejsce to cieszy się bardzo złą sławą. Lecz przysłowie mówi: *Kunshi ayoyukrni ni chikayorazu* [Mądry człowiek nie wystawia się bez potrzeby na niebezpieczeństwo], a muszę cię, panie, zapewnić, że spać tutaj jest bardzo niebezpiecznie. Przeto, choć dom mój jest zaledwie nędzną, strzechą krytą chatą, przyjmij, proszę, moje zaproszenie i udaj się tam ze mną bez chwili zwłoki. Jeśli chodzi o posiłek, niczego zaoferować ci nie mogę, ale jest tam przynajmniej dach, pod którym przenocujesz nie narażając daremnie życia.

Szczerść, z jaką mówił, i uprzejmy ton spodobały się Kwairyo, toteż chętnie przyjął zaproszenie.

Drwał poprowadził go wąską ścieżką wiodącą w górę przez las. Nierówna i zdradliwa była to ścieżka — chwilami biegła skrajem przepaści, chwilami jako oparcie stopom dawała zaledwie płataninę oślizgłych korzeni, chwilami wiła się wśród masywów najeżonych skał. Lecz wreszcie Kwairyo znalazł się na otwartej przestrzeni na szczycie wzgórza, ponad nim zaś jasno świecił księżyc w pełni. Na wprost stała mała, pokryta strzechą chata, a w niej wesoło paliło się światło. Gospodarz zaprowadził go do szopy na tyłach domostwa, dokąd bambusowymi rurami doprowadzono wodę z jakiegoś pobliskiego strumienia, i obaj umyli nogi. Za szopą był ogród warzywny i gaj cedrów i bambusów, a w oddali, za drzewami, połyskiwał spływający z niewidocznego proggu wodospad, podobny w blasku księżyca zwiewnej, długiej, białej szacie.

Kiedy Kwairyo wszedł do chaty ze swym przewodnikiem, ujrzał cztery osoby grzejące

* Tak nazywa się wierzchnie okrycie kapłana buddyjskiego.

dłonie nad niewielkim płomieniem roznieconym w *ro* *. Mężczyźni i kobiety pokłonili się nisko duchownemu i pozdrowili go z najwyższym szacunkiem, a ten zdumiał się, że osoby tak ubogie i mieszkające na takim odludziu znają równie grzeczne formy powitania. „To dobrzy ludzie — pomyślał — i z całą pewnością zetknęli się z kimś dobrze obznajmionym z prawdami przyzwoitości” Zwróciwszy się do pana domu powiedział:

— Z układności twej mowy i z wielce uprzejmego powitania tutaj mi zgotowanego, wnoszę, iż nie zawsze byłeś drwalem. Być może niegdyś należałeś do jednej z wyższych klas?

— Nie mylisz się, panie — uśmiechnął się spytany. — Choć dzisiaj żyję jak sam widzisz, byłem kiedyś osobą znacznej rangi. Moja historia jest opowieścią o zmarnotrawionym życiu — zmarnotrawionym z własnej winy. Służyłem u pewnego *daimyo* i w służbie tej zajmowałem niepoślednią pozycję, lecz nadto kochałem kobiety i wino, i w porywach namiętności postępowałem niczemnie. Mój egoizm sprowadził ruinę na nasz dom i śmierć wielu ludzi. Ścigała mnie zemsta i przez długi czas wiodłem życie zbiega. Teraz często modłę się o możliwość odpokutowania zła, jakie wyrządziłem, i odbudowania świetności starego rodu. Obawiam się jednak, że taka sposobność się nigdy nie nadarzy. Niemniej, staram się przewyciężyć *karmę* mych błędów poprzez szczerą skruchę i, na ile mnie stać, niesienie pomocy wszystkim tym, którzy są w potrzebie.

Postanowienie poprawy bijące z tych słów sprawiło radość Kwairyo.

— Mój przyjacielu - powiedział. — Zdarzyło mi się nieraz widzieć, iż ludzie skłonni do szaleństw w młodości, w późniejszym wieku stawali się wzorem prawości. W świętych sutrach nadto napisane jest, że najzapamiętalsi w wyrządzaniu zła za sprawą żarliwego postanowienia poprawy mogą zamienić się w najgorliwszych w czynieniu dobra. Nie wątpię w szlachetność twego serca i żywię nadzieję, iż lepszy los uśmiechnie się do ciebie. Dzisiejszej nocy recytować będę sutry w twojej intencji i pomodłę się, byś znalazł dosyć sił do przezwyćżenia *karmy* wszelkich dawnych błędów

Po tych zapewnieniach życzył mu dobrej nocy i udał się do niewielkiej bocznej izdebki, gdzie przygotowano już posłanie. Wszyscy ułożyli się do snu z wyjątkiem duchownego, który zaczął czytać sutry w świetle papierowej latarni. Do późnej godziny czytał i modlił się, aż wreszcie otworzył okno swej maleńkiej sypialni, by jeszcze raz popatrzeć na roztaczający się z niej widok. Noc była piękna, bezchmurna i bezwietrzna, w jasnym blasku księżyca listowie rzucało ostre, czarne cienie, a w ogrodzie skrzyły się krople rosy. Przenikliwy śpiew świerszczy i cykad wypełniał powietrze muzycznym zgiełkiem i wraz z upływem nocy głębszy się stał szum pobliskiego wodospadu. Słyszając odgłos płynącej wody, Kwairyo poczuł pragnienie. Przypomniał sobie o bambusowym akwedukcie na tyłach domostwa i postanowił pójść tam i napić się nie zakłócając snu domownikom. Delikatnie rozsunał drzwi oddzielające jego pokój od głównej izby i w świetle latarni ujrzał pięć leżących ciał — pozbawionych głów!

Przez chwilę stał oszołomiony, przeświadczony o dokonanej tu zbrodni. Lecz natychmiast zauważył, że nigdzie nie było krwi, a bezgłowe szyje nie wyglądały na ucięte. „Albo jest to złudzenie wywołane przez upiory — pomyślał — albo zwabiony zostałem do siedziby Rokuro-Kubi... W księdze *Soshinki* napisano, że jeśli ktoś natknie się na pozbawione głowy ciało Rokuro-Kubi i przeniesie je w inne miejsce, głowa nigdy już nie będzie mogła połączyć się z szyją. Księga mówi dalej, iż gdy głowa powróci i odkryje zniknięcie swego ciała, trzykrotnie uderzy o podłogę niczym piłka i dysząc jak gdyby w przerażeniu, wkrótce umrze. Jeżeli są to rzeczywiście Rokuro-Kubi, nie zyczą mi niczego dobrego, a więc usprawiedliwiony będę stosując się do pouczeń zawartych w księgach

Pochwycił ciało gospodarza za stopy, pociągnął w kierunku okna i wypchnął na zewnątrz. Potem podszedł do tylnych drzwi i znalazłszy je zaryglowanymi, domyślił się, że gło-

* Rodzaj małego paleniska usytuowanego w podłodze izby. *Ro* jest zwykle płytkim, kwadratowym wgłębieniem wyłożonym blachą, napełnionym do połowy popiołem, w którym pali się węglem drzewnym.

wy opuściły dom przez uchylony dymnik w dachu. Bezszelestnie otworzył drzwi, wy dostał się do ogrodu i zachowując wszelkie środki ostrożności skierował się w stronę gaju, skąd dobiegały go głosy. Przemykał ukradkiem z cienia w cień, a kiedy znalazł dogodną kryjówkę wśród drzew, wyjrzawszy zza pnia zobaczył wszystkie pięć głów, jak unosiły się w powietrzu i rozmawiały ze sobą. Pożerały robaki i owady, które wyszukiwały na ziemi i między gałęziami. Naraz głowa drwała przestała jeść i rzekła:

— Ach, ten wędrowny kapłan, który przybył wieczorem! Jakże tłuste jest jego ciało! Gdybyśmy go zjedli, nasze brzuchy napełniłyby się do syta. Głupi byłem opowiadając mu o wszystkim — skłoniło go to do recytowania sutr za mą duszę, a trudno zbliżyć się doń, kiedy je recytuje, i nietykalny jest jak długo się modli. Lecz teraz, tuż przed świtem, może już położył się spać. Niech ktoś z was uda się do domu i sprawdzi, co też ów jegomość porabia.

Głowa należąca do młodej kobiety natychmiast wzbija się w powietrze i cicho jak nietoperz poszybowała w kierunku chaty. Po kilku minutach powróciła i wykrzyknęła ochryplym głosem, tonem wielkiej trwogi:

— Tego wędrownego kapłana nie ma w domu! Odszedł! Ale nie to jest najgorsze — zabrał on ciało naszego gospodarza i nie wiadomo, gdzie je położył.

Na te słowa głowa drwała, widoczna dokładnie w świetle księżycy, przybrała przerażający wygląd. Oczy rozwarły się monstrualnie, włosy zjeżyły, zęby zazgrzytały. Poprzez pełen furii szloch usta krzyknęły:

— Ponieważ ciało moje zabrano, już się z nim nie połączę! Muszę umrzeć! A wszystko przez tego kapłana! Lecz zanim umrę, dopadnę go! Rozerwę na strzępy! Pożrę!... A oto i on, za tym drzewem! Patrzcie, jak kryje się ten tłusty tchórz!

I w tym samym momencie głowa skoczyła ku Kwairyo, a w ślad za nią podążyły pozostałe. Ale wyrwawszy młode drzewko, mocarny kapłan zdążył się już stosownie uzbroić i owym drzewkiem grzmocił nadlatujące głowy, odbijając je od siebie potężnymi uderzeniami. Cztery z nich rozpierchły się, lecz głowa drwała, choć raz po raz okładana, ponawiała desperackie ataki, aż wreszcie zdołała pochwycić lewy rękaw *koromo*. Kwairyo jednakże błyskawicznie złapał ją za czub i wymierzył kilka tęgich ciosów. Rozległ się przeciągły jęk i walka zakończyła się. Głowa była martwa, lecz zęby nie zwolniły uścisku — pozostały zaciśnięte na rękawie i mimo wielkiej siły duchowny nie był w stanie rozewrzeć szczęk.

Z głową wiszącą przy rękawie powrócił do chaty i ujrzał pozostałych Rokuro-Kubi przycupniętych w ciasnej gromadce. Ich poranione i ociekające krwią głowy zdążyły już połączyć się z ciałami. Kiedy spostrzegły Kwairyo w tylnych drzwiach, wrzasnęły: „Kapłan! Kapłan!” i uszły głównym wejściem w stronę lasu.

Na wschodzie niebo jaśniało, nadchodził świt i Kwairyo wiedział, że moc upiorów przeminęła wraz z nadejściem dnia. Spojrzał na głowę uczepioną rękawa, o twarzy powalanej krwią, pianą i gliną, i pomyślawszy „Cóż za *miyagè*! * Głowa upiora!” wybuchnął głośnym śmiechem. Spakował skromny dobytek i nieśpiesznie ruszył w dolinę, by kontynuować wędrówkę.

Szedł nigdzie się nie zatrzymując, aż dotarł do Suwa w Shinano. Z powagą kroczył główną ulicą miasta, z głową wiszącą przy łokciu. Na ten widok kobiety mdlały, a dzieci wrzeszczały i uciekały w popłochu. Zrobiło się wielkie zbiegowisko i podniósł potężny harmider, zanim *toritè* (tak w owych czasach zwano policjantów) schwycili go i zaprowadzili do aresztu, podejrzewając, że głowa należała do zamordowanego człowieka, który w chwili zabójstwa pochwycił zębami rękaw swego oprawcy. Kwairyo jednakże tylko uśmiechał się, gdy zadawano mu pytania. Po nocy spędzonej w więzieniu stanął przed władzami okręgu i rozkazano mu, by wytłumaczył, dlaczego jego, osobę duchowną, złapano z ludzką głową przy

* Tak nazywa się prezent wręczony przyjaciołom lub domostwu po powrocie z podróży. Naturalnie na *miyagè* składa się zwykle coś, co pochodzi ze stron, w których się przebywało i taka jest właśnie istota żartu Kwairyo.

rękawie i dlatego ośmielił się tak bezwstydnie chełpić swą zbrodnią przed ludźmi. Długo i donośnie śmiał się z tych pytań i wreszcie odpowiedział:

— Czcigodni panowie, nie ja przymocowałem tę głowę do rękawa, tylko ona sama się tam przymocowała, całkiem wbrew mojej woli. I żadnej zbrodni nie popełniłem, bowiem nie jest to głowa człowieka, a upiora. Jeżeli przyczyniłem się do jego śmierci, nie zrobiłem tego z chęci przelewu krwi, lecz po prostu z konieczności zadbania o własne bezpieczeństwo. — Po czym opowiedział swoją przygodę, wybuchając serdecznym śmiechem na wspomnienie potyczki z pięcioma głowami.

Ale urzędnicy dalecy byli od śmiechu. Uznali go za zatwardziałego przestępcę, a całą historię przyjęli jako obraźliwą dla ich inteligencji. Przeto o nic już więcej nie pytając, postanowili natychmiast zarządzić egzekucję — jednogłośnie, wyłączwszy pewnego bardzo starego człowieka. Ów leciwy sędzia nie czynił żadnych uwag w trakcie przesłuchania, usłyszawszy jednak werdykt kolegów, podniósł się i przemówił:

— Zbadajmy wprzód dokładnie tę głowę, gdyż, jak sądzę, dotąd tego nie zrobiono. Jeżeli duchowny mówił prawdę, zaświadczy ona o jego niewinności. Przyniescie głowę!

Tak więc głowa, dalej trzymająca w zębach *koromo* zdjęte z Kwairyo, trafiła wreszcie przed sędziów. Starzec obrócił ją kilkakrotnie, wnikliwie obejrzał i u nasady szyi odkrył kilka dziwnych czerwonych znaków. Zwrócił na nie uwagę swych kolegów, a również poprosił, by łaskawie raczyli spojrzeć na brzegi szyi, które nigdzie nie nosiły śladów wskazujących na cięcie zadane jakąkolwiek bronią. Przeciwnie — były one tak gładkie jak miejsce, gdzie opadający liść oddzielił się od drzewa.

— Jestem przeświadczony — odezwał się wówczas — iż kapłan nie powiedział niczego, co nie byłoby prawdą. To jest głowa Rokuro-Kubi. W księdze *Nan-ho-i-but-su-shi* napisano, że na karku Rokuro Kubi zawsze znajdują się pewne czerwone znaki. Oto i one. Spójrzcie, nikt ich nie namalował. Ponadto, od niepamiętnych czasów owe upiory gnieźdzą się w górach prowincji Kai i wszyscy o tym doskonale wiedzą... Lecz ty, panie — zwrócił się do Kwairyo — musisz być bardzo śmiałym człowiekiem. Dajeś dowód męstwa, na jakie stać niewielu ludzi twego stanu. Sprawiasz bardziej wrażenie żołnierza niż duchownego. A może kiedyś należałeś do klasy samurajów?

— Twoje przypuszczenie jest słuszne, panie — odpowiedział Kwairyo. — Zanim przywdziałem szaty kapłańskie, oddawałem się wojennemu rzemiosłu i w tamtych czasach nie bałem się ani człowieka ani diabła. Nosilem wtedy imię Isogai Hèidazaemon Takètsura z Kiusiu. Wśród was mogą być tacy, którzy go jeszcze nie zapomnieli.

Gdy wypowiedział swe poprzednie imię, szmer podziwu wypełnił salę sądu, gdyż wielu obecnych je pamiętało. W tej samej chwili Kwairyo poczuł, iż znalazł się pośród przyjaciół, nie zaś sędziów — przyjaciół skorych do okazania mu szacunku poprzez okazanie braterskiej życzliwości. Z honorami zaprowadzono go do rezydencji *daimyo*, a ten powitał go, ugościł i zanim pozwolił odejść, hojnie obdarował. Kiedy opuścił Suwa był tak szczęśliwy, jak tylko kapłan szczęśliwym być może na tym przejściowym świecie. Głowę natomiast zabrał z sobą, żartobliwie upierając się, że zachowa ją jako *miyagè*.

A teraz pozostaje już tylko opowiedzieć o dalszych losach owej głowy.

Dzień czy dwa po odejściu z Suwa, Kwairyo natknął się w odludnej okolicy na rozbójnika, który zatrzymał go i kazał mu się rozebrać. Bez zwłoki zdjął *koromo* i wręczył je napastnikowi, ten zaś dopiero wtedy dostrzegł, co zwieszało się z rękawa. Choć nie należał do strachliwych, przeląkł się. Cisnął szatę na ziemię, odskoczył w tył i krzyknął:

— Hej, ty! Coś ty za kapłan? Jesteś gorszy ode mnie! Prawda, że zabijałem, nigdy jednak nie przechadzałem się z głową mej ofiary przy rękawie. Tak, panie duchowny, zdaje mi się, że należymy do tego samego zakonu i wyrazić muszę mój szczerzy dla ciebie podziw. Przydałaby mi się taka głowa do straszenia ludzi. Sprzedaj mi ją. Możesz wziąć moje ubranie, a za głowę dam ci pięć ryō.

— Pozwolę zatrzymać ci głowę — rzekł Kwairyo — i szatę, jeśli nalegasz, lecz wiedz, iż nie jest to głowa człowieka, ale upiora. Gdy ją kupisz i z tego powodu spotkają cię kłopoty, pamiętaj proszę, że nie zostałeś przeze mnie oszukany.

— Piękny z ciebie kapłan, nie ma co! — zdziwił się rabuś. — Zabijasz ludzi i jeszcze stroisz sobie z tego żarty! Ja mówię poważnie: oto moje ubranie, a oto pieniądze. Po cóż żartować?

— Bierz to wszystko — odrzekł Kwairyo. — Ja nie żartowałem. Jedynym żartem, jeśli w ogóle stosowne jest to słowo, wydaje się to, że jesteś tak głupi, by dobrymi pieniędzmi płacić za głowę upiora.

Tak więc rozbójnik kupił głowę i *koromo* i przez jakiś czas odgrywał na drogach rolę kapłana-upiora. Znalazłszy się jednak w okolicach Suwa, poznał prawdziwą historię swego nabytku i przeląkł się, iż duch Rokuro-Kubi sprowadzi nań jakieś nieszczęście. Postanowił wtedy odnieść głowę tam, skąd pochodziła i pochować obok ciała. Odszukał ścieżkę prowadzącą do samotnego domostwa w górach Kai, lecz nikogo w nim nie zastał, ani też nie odnalazł ciała. Pogrzebał więc ją samą w gaju, a na grobie postawił kamień, zaś za spokój duszy Rokuro-Kubi zamówił nabożeństwo *Sègaki*. Nagrobek ów, znany jako Nagrobek Rokuro-Kubi, można oglądać po dziś dzień, tak przynajmniej twierdzą miejscowi chłopci.

TAJEMNICA ZABRANA DO GROBU

Dawno temu w prowincji Tamba mieszkał bogaty kupiec Inamuraya Gensukè. Miał on córkę o imieniu O-Sono, a ponieważ była ona bystrą i urodziwą dziewczyną, pomyślał, iż zasługuje na lepsze wykształcenie niż zapewnić jej mogli prowincjonalni nauczyciele. Wysłał ją więc pod opieką zaufanych sług do Kioto, by nabrała ogłady równej stołecznym damom. Po skończonej edukacji została zaślubiona zaprzyjaźnionemu z rodziną Inamurayi kupcowi zwanemu Nagaraya. O-Sono żyła z nim szczęśliwie przez cztery blisko lata i mieli jedno dziecko — chłopca. Ale w czwartym roku małżeństwa nagle zachorowała i umarła.

W noc po pogrzebie chłopczyk oznajmił, że mamusia wróciła i była w małym pokoju na piętrze. Uśmiechnęła się do niego, lecz nie odezwała ani słowem, toteż przestraszył się i uciekł. Wówczas kilku członków rodziny udało się na piętro do pokoju, który należał do zmarłej, i w świetle małej lampki płonącej przed ołtarzykiem ujrzeli ku swemu przerażeniu jej postać. Zdawało się, że stoi ona przed *tansu*, czyli komodą, gdzie wciąż spoczywały jej ozdoby i szaty. Głowa i ramiona rysowały się bardzo wyraźnie, ale od pasa w dół kontury rozplywały się, aż wreszcie stawały się całkiem niewidoczne. Podobna była niedoskonałemu odbiciu żywej O-Sono, tak ulotnemu jak cień na wodzie.

Ludzie przelękli się i pośpiesznie opuścili pokój, zaś na dole, podczas narady rodzinnej, matka męża dziewczyny powiedziała:

— Każda kobieta kocha swoje drobiazgi, a O-Sono była do nich szczególnie przywiązana. Być może powróciła, by na nie popatrzeć. Tak czyni wiele zmarłych, chyba że ich rzeczy zostaną złożone w parafialnej świątyni. Jeżeli ofiarujemy stroje i biżuterię nieboszczki świątyni, jej dusza zazna prawdopodobnie ukojenia.

Postanowiono zrobić to bez chwili zwłoki. Gdy tylko nadszedł ranek, opróżniono szuflady i wszystko, co się w nich znajdowało, odniesiono do świątyni. Ale O-Sono powróciła następnej nocy i tak jak uprzednio wpatrywała się w *tansu*. Pojawiła się także kolejnej i dalszych nocy. Dom ów stał się domem strachu.

Matka męża O-Sono wybrała się wreszcie do świątyni, opowiedziała bonzie o zma-

rtwieniu i poprosiła o duchową poradę. Była to świątynia sekty Zen, a jej główny kapłan znany był jako wielce uczony starzec o imieniu Daigen Osho.

— Wewnątrz lub gdzieś w pobliżu *tansu* musi znajdować się coś, co wzbudza niepokój zmarłej — powiedział.

— Ale opróżniliśmy wszystkie szuflady — usłyszał w odpowiedzi. — W *tansu* nic już nie ma.

— Wobec tego przyjdę dziś wieczorem do waszego domu i będę czuwał w tym pokoju. Sam zobaczę, co można uczynić. Ale musisz nakazać, aby nikt tam nie wchodził, chyba że zawołam — odrzekł Daigen Osho.

Po zachodzie słońca przybył do nawiedzonego domu i zastał pokój już dlań przygotowany. Czytał samotnie sutry i nie wydarzyło się nic niezwykłego, aż nadeszła Godzina Szczura *. Wtedy nagle wyłoniła się postać O-Sono — jej twarz była zatroskana, a oczy wpatrywały się w *tansu*.

Duchowny wypowiedział świętą formułę przewidzianą na takie okazje, po czym zwrócił się do zmarłej używając jej *kaimyo*:

— Przyszedłem tu, aby ci pomóc. Czy w *tansu* znajduje się coś, co jest powodem twojego niepokoju? Czy chcesz, bym spróbował odszukać to dla ciebie?

Nieznacznym skinieniem głowy cień wyraził przyzwolenie. Kapłan wstał i wysunął górną szufladę. Była pusta. Kolejno wysunął pozostałe trzy, dokładnie je przeszukał, potem zbadał wnętrze komody. Niczego nie znalazł. Ale postać dalej spoglądała z troską i kapłan pomyślał sobie: „Czegóż ona może chcieć?” i w tym momencie przyszło mu do głowy, że coś mogło zostać ukryte pod papierem, którym wyłożone były szuflady. Uniósł wyścielenie w pierwszej — nic. W drugiej i trzeciej — także nic. Lecz w najniższej ujrzał list.

— Czy ta oto rzecz jest przyczyną twojego niepokoju? — spytał, a cień zwrócił się w jego stronę i oczy utkwili w liście. — Czy mam go spalić? — A kiedy zmarła skłoniła się, oświadczył: — Zostanie on spalony w świątyni, gdy tylko nadejdzie świt i nikt poza mną go nie przeczyta. — Wówczas postać uśmiechnęła się i rozplynęła w powietrzu.

Dniało już, gdy Daigen Osho zszedł na dół i zobaczył całą rodzinę czekającą z obawą na jego powrót. — Nie bójcie się — powiedział - już więcej się tu nie pojawi. — I tak się stało.

List został spalony. Był to list miłosny, jaki O-Sono otrzymała w czasach nauki w Kioto. Lecz tylko kapłan znał jego treść, a tajemnica ta wraz z nim zstąpiła do grobu.

YUKI-ONNA

W pewnej wiosce w prowincji Musashi żyli niegdyś dwaj drwale, Mosaku i Minokichi. To, o czym chcę opowiedzieć, zdarzyło się, kiedy Mosaku był już starym człowiekiem, a jego uczeń Minokichi — osiemnastoletnim chłopcem. Każdego dnia obaj wyruszali wspólnie do lasu oddalonego o jakieś pięć mil od wioski, a po drodze przepawali się łodzią przez rzekę. Kilkakrotnie budowano tam most, lecz za każdym razem znosiła go powódź, żaden bowiem zwyczajny most nie był zdolny oprzeć się wartkiemu nurtowi, gdy wody wzbierały.

Pewnego nad wyraz chłodnego wieczoru, kiedy Mosaku i Minokichi wracali do domu, zaskoczyła ich gwałtowna zamieć. Dotarli do przeprawy, ale przewoźnik pozostawił łódź na

* Godzina Szczura (*Nè-no-Koku*) według dawnej japońskiej miary czasu była godziną pierwszą. Odpowiadała okresowi między północą a drugą w nocy. W dawnej Japonii jedna godzina równała się dwóm współczesnym godzinom.

przeciwnym brzegu, a sam się oddalił. Przebycie rzeki wpław w taki dzień było niepodobieństwem i obaj drwale schronili się w chatce przewoźnika, szczęśliwi iż w ogóle udało im się znaleźć jakiś dach nad głową. Nie było w niej ani piecyka na węgiel drzewny, ani żadnego innego miejsca odpowiedniego do rozpalenia ognia — była to zaledwie chatka wielkości dwóch mat * z pojedynczymi drzwiami, lecz bez okna. Mosaku i Minokichi zaparli drzwi i okrywszy się swymi słomianymi płaszczami przeciwdeszczowymi, ułożyli się do snu. Początkowo nie odczuwali dotkliwego zimna i sądzili, że zamieć rychło przeminie.

Stary zasnął niemal natychmiast, ale chłopiec długo nie mógł zmrużyć oka i wsłuchiwał się w wycie straszliwej wichury sieczącej śniegiem o drzwi. Rzeka huczała, a chatka kołysała się i trzeszczała niczym dżonka na wzburzonym morzu. To była potworna noc. Z każdą chwilą powietrze oziębiało się i Minokichi drżał pod swym słomianym okryciem. Lecz wreszcie zasnął i on.

Obudziło go sypnięcie śniegu w twarz. Drzwi chatki były rozwarte, a w blasku śnieżnej poświaty (*yuki-akari*) ujrzał w izdebce postać kobiety w bieli. Zgięta nad Mosaku, spowijała go swym oddechem podobnym lśniącej, białej mgle. Potem obróciła się ku Minokichi. Próbował krzyknąć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Biała pani pochylała się nad nim, niżej i niżej, aż twarzą nieomal dotknęła jego twarzy. Spostrzegł, iż była ona bardzo piękna, choć oczy jej budziły trwogę. Przez krótką chwilę przyglądała się mu, i naraz uśmiechnęła się i szepnęła: „Miałam zamiar obejść się z tobą jak i z tamtym mężczyzną. Lecz nie mogę powstrzymać się od uczucia litości, jesteś bowiem jeszcze taki młody... Urodziwy z ciebie chłopiec, Minokichi, i nie wyrządzą ci teraz krzywdy. Ale jeśli komukolwiek, nawet własnej matce, opowiesz o tym, co widziałeś tej nocy, dowiem się, a wtedy zabiję cię... Zapamiętaj moje słowa!”

Wypowiedziawszy to, odwróciła się i opuściła chatkę, a wtedy dopiero Minokichi poczuł, iż odzyskał zdolność ruchu. Skoczył na równe nogi i rozejrzał się, lecz po białej kobiecie nie pozostało ani śladu, zaś śnieg z furją wdierał się do izby. Zamknął drzwi i zapał je kilkoma polanami. Zastanawiał się, czy to aby nie poryw wiatru je otworzył, i pomyślał, że przecież wszystko, co się wydarzyło, mogło mu się tylko przyśnić, a blask śniegowej poświaty w progu omyłkowo wziął za postać kobiety w bieli. Pewności jednak nie miał. Zawołał na Mosaku i przeraził się, bowiem stary nie odpowiadał. Wyciągnął w ciemności rękę i dotknął jego twarzy. Poczul lodowaty chłód! Mosaku był sztywny i martwy.

O świcie zamieć ustała i kiedy przewoźnik wrócił na swój posterunek tuż po wschodzie słońca, znalazł Minokichiego leżącego bez czucia przy zamarznionych zwłokach Mosaku. Natychmiast zaopiekowano się troskliwie chłopcem, który wnet przyszedł do siebie, choć długo jeszcze przyszło mu odchorowywać skutki zziębnięcia owej straszliwej nocy. Wielce przerażony był śmiercią starego Mosaku, lecz nawet jednym słowem nie napomknął o kobiecie w bieli. Gdy wreszcie wyzdrowiał, powrócił do swej profesji — każdego ranka wyruszał do lasu i powracał stamtąd wieczorem z naręczem drew, a w ich sprzedaży pomagała mu matka.

Pewnego wieczoru następnej zimy, idąc do domu zrównał się z dziewczyną, która podróżowała tą samą drogą. Była ona wysoka, szczupła i nad wyraz urodziwa, a na pozdrowienie odpowiedziała głosem tak miłym dla ucha jak śpiew ptaka. Dalej szli już razem i nawiązali rozmowę. Dziewczyna oświadczyła, że nazywa się O-Yuki ** i że niedawno straciła oboje rodziców, i teraz udaje się do Yedo, do ubogich krewnych, którzy być może pomogą jej znaleźć posadę służącej. Wkrótce Minokichi był całkowicie oczarowany nieznaną i im dłużej na nią patrzył, tym piękniejszą mu się wydawała. Spytał, czy jest już komuś przyrzeczona, a ona, śmiejąc się, odpowiedziała, iż jest wolna. Z kolei ona chciała się dowiedzieć, czy jest

* Około 6 stóp kwadratowych.

** Imię to, oznaczające Śnieg, nie jest niepospolite. Na temat japońskich imion żeńskich pisałem w rozprawie włączonej do tomu *Shadowings*.

żonaty lub zaręczony, a on odrzekł, że choć na utrzymaniu ma tylko owdowiałą matkę, kwestia „czcigodnej synowej” dotąd nie była rozpatrywana z powodu jego młodego wieku... Po tych zwierzeniach długą chwilę szli w milczeniu, lecz, jak mówi przysłowie, *Ki ga arèba, mè mo kuchi hodo ni mono wo iu* — „Gdy taka jest wola, oczy mogą powiedzieć tyle co usta”. Kiedy wreszcie dotarli do wioski, oboje byli sobie wielce radzi i wówczas Minokichi poprosił O-Yuki, by zechciała nieco odpocząć w jego domu. Po chwili pełnego onieśmienia wahania poszła za nim, a matka chłopca uprzejmie ją powitała i przygotowała ciepły posiłek. Dziewczyna zachowywała się tak układnie, że od razu zdobyła sympatię starej kobiety, która namówiła ją, by odłożyła swą podróż. I naturalnym biegiem rzeczy O-Yuki w ogóle nie udała się do Yedo — pozostała w tym domu jako „czcigodna synowa”.

Okazała się bardzo dobrą synową i kiedy jakieś pięć lat później przyszło matce umrzeć, jej ostatnimi słowami były wyrazy miłości i pochwały dla żony syna. Powiła Minokichiemu dziesięcioro dzieci — chłopców i dziewczynek o bardzo jasnej karnacji — wszystkich jednakowo udanych.

Wieśniacy uważali ją za osobę nadzwyczajną, o przedziwnej naturze. Kiedy bowiem większość chłopiek starzeje się szybko, ona nawet po dziesięciokrotnym macierzyństwie wyglądała młodo i świeżo, niczym w dniu, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w wiosce.

Pewnej nocy, gdy dzieci już spały, a O-Yuki szyła w świetle papierowej latarni, Minokichi, przypatrując się jej, powiedział:

— Widok twój, szyjącej z tym światłem na twarzy, budzi we mnie wspomnienie dziwnego zdarzenia, którego byłem świadkiem jako osiemnastoletni chłopiec. Ujrzałem wówczas kogoś tak pięknego i jasnego jak ty w tej chwili. W rzeczy samej, osoba ta była bardzo do ciebie podobna.

— Opowiedz mi o niej... Gdzie ją widziałeś? - spytała O-Yuki nie podnosząc oczu.

Wtedy Minokichi opowiedział jej o strasznej nocy spędzonej w chatce przewoźnika i o Białej Kobiecie, która pochyliła się nad nim uśmiechając się i szepcząc, i o cichej śmierci Mosaku. Wreszcie rzekł:

— Czy we śnie, czy na jawie, raz tylko, właśnie wtedy, ujrzałem kogoś równie pięknego jak ty. Lecz ona nie była istotą ludzką i bałem się jej. Bardzo bałem. A miała ona tak białą twarz... Doprawdy, nigdy nie miałem pewności, czy było to senne widzenie, czy też Pani Śniegu...

O-Yuki cisnęła szycie na ziemię, wstała i pochyliła się nad siedzącym Minokichi.

— To byłem ja! Ja! Yuki! - krzyknęła mu prosto w twarz. — Powiedziałam wtedy, że zabiję cię, gdy wspomnisz o tym komuś choćby jednym słowem! Gdyby nie śpiące tu dzieci, uczyniłabym to bez wahania! A teraz, dla swego własnego dobra, opiekuj się nimi troskliwie, ale to bardzo, bardzo troskliwie, bowiem gdyby kiedykolwiek miały powód do uskarżania się na ciebie, postąpię z tobą tak, jak na to zasługujesz!

Ale nawet gdy krzyczała, jej głos stawał się coraz słabszy, podobny zawodzeniu wiatru. Wreszcie zamieniła się w lśniącą białą mgłę, która wystrzeliła ku sufitowi, przecisnęła się przez dymnik... i odtąd nikt już jej więcej nie zobaczył.

OPOWIEŚĆ O AOYAGI

W epoce Bummei (1469—1486) w służbie księcia Noto, Hatakèyamy Yoshimunè, był młody samuraj o imieniu Tomotada. Pochodził z Echizen, lecz w dzieciństwie wzięto go do pałacu *daimyo* Noto jako giermka i pod nadzorem owego pana przyuczono do rzemiosła

rycerskiego. Okazał się uczniem pojętnym i dobrym żołnierzem, i cieszył się nieustającą łaską księcia. Obdarzony miłym charakterem, ujmującą uprzejmością i wielką urodą, zdobył podziw i sympatię innych samurajów.

Kiedy Tomotada liczył sobie jakieś dwadzieścia lat, wysłany został z poufną misją do krewnego Hatakèyamy Yoshimunè, Hosokawy Masamoto, wielkiego *daimyo* Kito. Dostawszy rozkaz odbycia podróży przez Echizen, młodzieniec poprosił o pozwolenie złożenia po drodze wizyty swej owdowiałej matce i otrzymał je.

Chwila jego odjazdu przypadła na najchłodniejszą porę roku, a kraj pokryty był śniegiem. Choć dosiadał silnego wierzchowca, posuwał się nad wyraz wolno. Droga, którą podążał, wiodła przez górzystą okolicę, gdzie osady ludzkie były nieliczne i bardzo od siebie odległe. W drugim dniu podróży, po wielogodzinnej męczącej jeździe, z niepokojem spostrzegł, że nie osiągnie zamierzonego miejsca postoju przed nastaniem nocy. Miał powody do obaw, bowiem wraz z przejmującym, zimnym wiatrem nadciągała zawieja śnieżna, a koń zdradzał oznaki wyczerpania. Lecz w owej ciężkiej chwili próby Tomotada zobaczył naraz pokryty strzechą dach chałupy na szczycie pobliskiego wzgórza porośniętego wierzbami. Z trudem popędził zmordowane zwierzę ku domostwu i głośno zastukał do zapartych przed nawałnicą podwójnych drzwi. Otworzyła je stara kobieta i ujrawszy przystojnego nieznajomego, wykrzyknęła ze współczuciem: „Ach, cóż to za pożałowania godny widok! Młody szlachcic podróżujący samotnie w taką pogodę!... Zechciej, młody panie, wejść”.

Tomotada zsiadł z konia, zaprowadził go do szopy na tyłach chałupy, po czym wszedł do izby, gdzie ujrzał leciwego mężczyznę i młodą dziewczynę grzejących się przy płomieniu bambusowych szczap. Oboje z szacunkiem poprosili go, by zbliżył się do ognia, a starzy natychmiast zajęli się przygotowaniem grzanego wina ryżowego i przyrządzeniem posiłku dla podróżnego, którego odnośnie celu wędrówki ośmielili się już rozpytać. Dziewczyna zniknęła za przepierzeniem, Tomotada zdążył jednak zauważyć ku swemu zdumieniu, że była ona szczególnej urody, choć ubiór jej był nad wyraz lichy, a długie, rozpuszczone włosy w nieładzie. Zdziwił się, iż równie nadobnej pannie przyszło mieszkać w tak nędznym i odludnym miejscu.

— Czcigodny panie — zwrócił się do niego stary — następna wioska jest daleko stąd, a śnieg sypie gęsto. Wieje przejmujący wiatr, a droga jest niedobra. Dalsza podróż tej nocy byłaby więc z całą pewnością niebezpieczna i choć nora ta niegodna jest twej osoby i choć nie mamy do zaoferowania żadnych wygód, przezorniej będzie pozostać tu, pod tym nędznym dachem. Twoim koniem dobrze się zaopiekujemy.

Tomotada przyjął to skromne zaproszenie, w głębi ducha rad z tak oto danej mu sposobności bliższego przyjrzenia się dziewczynie. Po chwili postawiono przed nim niewyszukany, lecz obfity posiłek, a ona wyszła zza przepierzenia, by zająć się rozlewaniem wina. Odziana była teraz w ubogą, ale schludną suknię z ręcznie tkanego materiału, a jej długie, przedtem rozpuszczone włosy zostały starannie uczesane i przygładzone. Gdy pochyliła się, aby napełnić jego czarękę, Tomotada uzmysłowił sobie, iż urodą przewyższała ona nieporównanie wszystkie kobiety, jakie dotąd widział, a wdzięk kryjący się w każdym jej geście budził w nim zachwyt. Lecz starzy poczęli się usprawiedliwiać za nią: „Panie, nasza córka Aoyagi * wychowała się tu, w górach, na niemal zupełnym odludziu i pojęcia nie ma o sztuce usługiwania. Błagamy cię, byś raczył wybaczyć jej ograniczenie i ignorancję”. Tomotada zaprotestował mówiąc, że poczytuje sobie za szczęście być obsługiwanym przez równie nadobną pannę. Nie potrafił odwrócić od niej oczu, choć pod jego zachwyconym spojrzeniem spłonęła rumieńcem, a wino i jedzenie stało przed nim nie ruszone. Wtedy odezwała się matka: „Łaskawy panie, nasze chłopskie posiłki są najpodlejszego rodzaju, żywimy jednak wielką nadzieję, iż spróbujesz nieco zjeść i napić się, gdyż musiałeś zziębnąć na tym przenikliwym wietrze”.

* Imię to znaczy „Zielona Wierzba” i, choć rzadko spotykane, wciąż jeszcze jest w użyciu.

Aby sprawić starym wieśniakom przyjemność, jadł i pił ile tylko mógł, ale urok zarumienionej dziewczyny dalej trzymał go w swej mocy. Zamienił z nią kilka słów, a mowa jej była równie słodka jak jej twarz. Nawet jeżeli istotnie wyrosła w górach, jej rodzice musieli być niegdyś osobami znacznej rangi, bowiem wyrażała się i zachowywała niczym dama z towarzystwa. W przypiływie serdecznego podziwu zwrócił się do niej poematem, który zarazem był pytaniem:

Tadzunètsuru,
Hana ka totè koso,
Hi wo kurasè,
Akènu ni otoru
Akanè sasuran?

[*Podróżując, by złożyć wizytę, spotkałem tę, którą wziąłem za kwiat — tu przeto spędzam noc. Lecz dlaczego przed brzaskiem zapłonęła zorza poranna — tego doprawdy nie wiem*] *

A ona bez chwili wahania odpowiedziała mu takim oto wierszem:

Izuru hi no
Honomèku iro wo
Waga sodè ni
Tsutsumaba asu mo
Kimiya tomaran.

[*Jeśli rękawem skryję nieśmiały, jasny kolor wschodzącego słońca — wtedy, być może, pan mój rankiem pozostanie*] **

Po tych słowach Tomotada wiedział, iż jego uwielbienie nie było jej obojętne, a zrećzność, z jaką poprzez wiersz wyraziła swe uczucia, zaskoczyła go i zachwyciła nie mniej niż zapewnienie, które owe wersy z sobą niosły. Nie miał już wątpliwości, że daremnym byłoby nawet marzyć o spotkaniu na tym świecie, co więcej — o zdobyciu, kogoś bardziej urodziwego i rozumnego od tej wiejskiej panny, tu przed nim stojącej, a głos w jego sercu zdawał się krzyknąć ponaglająco: „Bierz szczęście, jakie bogowie postawili na twej drodze!” Mówiąc krótko, był oczarowany — oczarowany do tego stopnia, iż bez dłuższych wstępów poprosił starych wieśniaków, by oddali mu Aoyagi za żonę i wyjawiał im swe imię, pochodzenie oraz pozycję w służbie księcia Noto. Oboje pokłonili się przed nim wydając wiele okrzyków wdzięczności i zdziwienia, ale po kilku chwilach widocznego wahania ojciec powiedział:

— Czcigodny panie, jesteś osobą o wysokiej pozycji i oczekują cię prawdopodobnie jeszcze większe zaszczyty. Zbyt wielka jest łaska, którą chcesz nam wyświadczyć... Doprawdy, głębi naszej wdzięczności nie da się ani zmierzyć, ani opisać słowami. Lecz nie byłoby właściwym pozwolić naszej córce, będącej głupią chłopką niskiego urodzenia, bez odpowiedniego wychowania i wykształcenia, zostać żoną szlachetnego samuraja. Nawet mówić o czymś podobnym nie wydaje się stosownym. Skoro jednak dziewczyna przypadła ci do gustu i raczyłeś wybaczyć jej chłopskie maniere, i przymknąłeś oczy na jej wielkie nieokrzesanie, z

* Poemat ten może być odczytany w dwojaki sposób, bowiem niektóre zwroty mają podwójne znaczenie. Lecz wyjaśnienie artyzmu jego konstrukcji zajęłoby sporo miejsca i raczej nie zainteresowałoby czytelnika z Zachodu. Treść, którą chciał mu nadać Tomotada interpretowana może być w taki oto sposób: „Podróżując, by złożyć wizytę matce, spotkałem istotę tak piękną jak kwiat — z powodu tej pięknej osoby spędzam tu dzień. Moja piękna, co jest przyczyną rumieńca podobnego porannej zorzy przed świtem. Czy znaczy on, że mnie miłujesz?”

** I tutaj inne odczytanie jest możliwe, lecz to tłumaczenie oddaje w pełni treść zamierzonej odpowiedzi.

radością darujemy ją ci na pokorną służebnicę. Od tej chwili zechciej przeto postępować z nią wedle swego łaskawego życzenia.

Nad ranem wichura ucichła, a na bezchmurnym wschodzie zaczęło świtać. Nawet gdyby rękaw Aoyagi przysłonił oczom kochanka różany blask brzasku, nie mógł on dłużej zwlekać z wyruszeniem w drogę. Ale nie mógł także pogodzić się z myślą o rozstaniu i kiedy wszystko było już gotowe do dalszej podróży, tymi oto słowy zwrócił się do jej rodziców:

— Choć niewdzięcznością wydać się może prośenie o więcej, niż już otrzymałem, ponownie błagać was muszę o oddanie mi waszej córki za żonę. Trudno byłoby mi się już z nią rozdzielić, a ponieważ pragnie mi towarzyszyć, z waszym pozwoleniem zabiorę ją ze sobą tak jak stoi. Jeśli zgodzicie się, będę zawsze czcić was jako rodziców... A teraz, proszę, przyjmijcie ten skromny dowód wdzięczności za okazaną mi najżyczliwszą gościnność.

Mówiąc to, położył przed ubogim gospodarzem sakiewkę pełną złotych *ryo*, lecz po wielu niskich ukłonach stary łagodnie odsunął dar i powiedział:

— Łaskawy panie, z całą pewnością będziesz złota potrzebował podczas długiej zimowej podróży, my zaś z niego nie mielibyśmy tu wielkiego pożytku. Niczego nie kupujemy i nie jesteśmy w stanie wydać tak dużej sumy pieniędzy, nawet gdybyśmy tego pragnęli. A jeśli chodzi o dziewczynę, należy do ciebie, bowiem oddaliśmy ją tobie bezinteresownie i nie jest już koniecznym prośenie nas o pozwolenie zabrania jej stąd. Powiedziała nam, że ma nadzieję towarzyszyć ci i pozostać twą służebnicą jak długo zechcesz znosić jej obecność. Najwyższym szczęściem dla nas jest nowina, iż raczyłeś zwrócić na nią swą łaskawą uwagę, błagamy więc, byś z naszego powodu nie czuł się niczym skępowany. Tutaj nie moglibyśmy zapatrzyć jej w odpowiednie stroje, nie wspominając już o wianie. Ponadto, jako że obydwójce jesteśmy starzy, i tak niebawem musielibyśmy się z nią rozstać, przeto wielce fortunnym zrządzeniem losu jest to, że zapragnąłeś zabrać ją z sobą.

Daremne były wszelkie próby skłonienia wieśniaków do przyjęcia daru — nie przywiązywali oni żadnej wagi do pieniędzy. Tomotada zauważył jednak, że naprawdę pragnęli oddać Aoyagi pod jego opiekę, zdecydował się więc zabrać ją z sobą. Posadził dziewczynę na koniu i pożegnał jej rodziców wieloma szczerymi słowami wdzięczności.

— Czcigodny panie — odrzekł wtedy ojciec — to my mamy powód do wdzięczności. Przekonani jesteśmy, iż będziesz dobry dla naszej córki i nie lękamy się o jej przyszłość...

[W tym miejscu w japońskim oryginale następuje nieoczekiwane zerwanie naturalnego rozwoju narracji, które sprawia, iż odtąd opowieść staje się osobliwie niekonsekwentna. Nic więcej nie jest już powiedziane ani o matce Tomotady, ani o rodzicach Aoyagi, ani o daimyo Noto. Prawdopodobnie autor znużył się swą pracą i z wielką niefrasobliwością przyspieszył akcję ku jej zaskakującemu finałowi. Nie potrafię uzupełnić tych luk, ani też naprawić wad konstrukcji utworu, ośmielę się jednak dodać kilka wyjaśniających szczegółów, bez których pozostała część opowiadania nie łączyłaby się z początkiem... Wydaje się, iż Tomotada nierozważnie wziął Aoyagi z sobą do Kioto i z jej powodu znalazł się w tarapatkach, nie mamy jednak żadnej informacji co do tego, gdzie młoda para zamieszkała po wszystkim.]

W owych czasach samurajowi zabronione było wstępowanie w związki małżeńskie bez uzyskania pozwolenia swego pana, a Tomotada nie mógł spodziewać się otrzymania owej zgody przed wypełnieniem powierzonej mu misji. W tych okolicznościach miał uzasadniony powód do obaw, aby piękność Aoyagi czasem nie przyciągnęła czyjejsz niepożądaney uwagi i aby nie została mu ona jakimś sposobem odebrana. Tak więc w Kioto starał się ukryć ją przed ciekawymi oczami. Ale dworzanin Hosokawy ujrzał pewnego dnia dziewczynę, zbadał jej związek z Tomotadą i złożył o tym meldunek swemu panu, a *daimyo*, młody książę, nadto nie obojętny na urodziwe buzie, nakazał, by dziewczynę przyprowadzono do pałacu, co uczyniono natychmiast, bez żadnych ceremonii.

Tomotada cierpiał niewymownie, lecz świadom był swej bezsilności. Jako zaledwie

skromny posłaniec w służbie dalekiego *daimyo*, znajdował się obecnie na łasce znacznie potężniejszego władcy, którego życzenia nie mogły być kwestionowane. Co więcej, wiedział, że postąpił lekkomyślnie i że sam sprowadził na siebie nieszczęście, wchodząc w potajemny związek potępiony przez kodeks stanu rycerskiego. Teraz pozostała mu już tylko jedna nadzieja — nadzieja rozpaczliwa — iż Aoyagi uda się wymknąć z pałacu i zbiec z nim. Po długich rozważaniach postanowił podjąć próbę przekazania jej listu. Było to naturalnie niebezpieczne, mógł on bowiem wpaść w ręce *daimyo*, a pisanie listów miłosnych do jakiegokolwiek mieszkanki pałacu poczytywano za niewybaczalną zniewagę. Zdecydował się jednak zaryzykować i nadawszy swemu przesłaniu formę chińskiego poematu, dołożył starań, by zostało ono jej przekazane. Wiersz składał się zaledwie z dwudziestu ośmiu znaków, lecz przy ich pomocy Tomotada zdołał wyrazić całą głębię swego uczucia i opisać wielki ból spowodowany utratą ukochanej: *

Koshi o-son gojin wo ou;
Ryokuju namida wo tarètè rakin wo hitataru;
Komon hitotabi iritè fukaki koto umi no gotoshi;
Korè yori shoro korè rojin.

[*Krok w krok młodzieńczy książę podąży za jaśniejącą niczym klejnot panną;
Łzy pięknej spadając zrosiły jej szaty.
Lecz dostojny pan raz się w niej rozmiłowałszy - głębia jego pragnienia równa jest
głębinie morza.
Tylko ja jeden pozostaję w opuszczeniu — tylko ja jeden wędrować odtąd będę samotnie.*]

Wieczorem tego samego dnia, kiedy list został wysłany, Tomotada otrzymał rozkaz stawienia się przed obliczem Hosokawy. Natychmiast powziął podejrzenie, iż jego tajemnica wydała się, jeśli zaś ów list w istocie trafił do rąk *daimyo*, nie mógł żywić nadziei na uniknięcie najsrozszej kary. „Teraz rozkaże, bym umarł — pomyślał — lecz nie mam ochoty dalej żyć bez Aoyagi. A gdy wyrok zapadnie, mogę przynajmniej usiłować zgładzić Hosokawę. Wsunął miecze za pas i pośpieszył do pałacu.

W sali audiencyjnej ujrzał księcia siedzącego na *dais* w otoczeniu samurajów wysokiej rangi w ceremonialnych szatach. W swym milczeniu podobni byli posągom, a kiedy przybliżył się, by złożyć hołd, cisza zdała mu się nabrzmiałą i złowrogą niczym spokój przed burzą. Lecz naraz Hosokawa zstąpił z *dais* i ujawszy go pod ramię, zaczął recytować poemat: *Koshi o-son gojin wo ou...* — a Tomotada podniósłszy wzrok ujrzał w oczach *daimyo* łzy wzruszenia.

— Ponieważ oboje tak bardzo się kochacie — odezwał się wówczas Hosokawa — wzięłem na siebie obowiązek usankcjonowania waszego małżeństwa, w zastępstwie mojego krewnego, księcia Noto. Ślub odbędzie się tutaj, w mojej obecności. Goście zebrali się, podarunki są już przygotowane.

Na jego znak rozsunęły się ekrany skrywające dotąd przyległą komnatę i Tomotada zobaczył wielu dworskich dostojników zaproszonych na uroczystość i Aoyagi oczekującą nań w stroju panny młodej... W taki oto sposób odzyskał dziewczynę, a wesele było radosne i okazałe, i młoda para otrzymała cenne podarki od księcia i jego dworzan.

* * *

Po ślubie Tomotada i Aoyagi żyli razem przez pięć szczęśliwych lat. Lecz pewnego ranka, podczas rozmowy na jakiś zwykły, domowy temat, Aoyagi wydała naraz głośny

* Japoński narrator pragnie, abyśmy w to uwierzyli, chociaż w tłumaczeniu owe wersy wydają się raczej pospolite. Starłem się oddać ich ogólny sens, gdyż tłumaczenie dosłowne wymagałoby nieco erudycji.

okrzyk bólu, po czym zbladła i zamilkła, zaś w chwilę później odezwała się słabym głosem:

— Wybacz mi tak prostacki krzyk, ale ból przyszedł tak nagle!... Mój ukochany mężu, nasz związek stał się możliwym dzięki powinowactwu naszych karm w poprzednim istnieniu i to szczęśliwe powinowactwo przywróci nas sobie, jak sędzę, jeszcze w niejednym przyszłym życiu. Teraz jednakże związek nasz dobiegł już kresu i niebawem nastąpi rozstanie. Błagam, odmów za mnie modlitwę *Nembutsu*, bowiem umieram...

— Och! Cóż to za dziwny, szalony wymysł! — wykrzyknął osłupiały Tomotada. — Jesteś tylko trochę niezdrowa, moja miła! Połóż się na chwilę i odpocznij, a choroba wnet minie...

— Nie, nie! — odrzekła. — Ja umieram! To nie wymysł, lecz pewność! Byłoby już dłużej bezcelowym ukrywać prawdę, mój drogi mężu. Nie jestem istotą ludzką — dusza drzewa jest moją duszą, serce drzewa jest moim sercem, soki wierzby są moim życiem. A w tej okrutnej godzinie ktoś właśnie ścina moje drzewo. Oto dlaczego muszę umrzeć!... Nie mam nawet sił, by zapłakać!... Szybko, szybko zmów *Nembutsu* za mnie... Szybko!... Och!...

Z ponownym okrzykiem bólu odwróciła swą piękną głowę i starała się ukryć twarz pod rękawem. Ale w tej samej chwili zdało się, iż cała jej postać osunęła się w najdziwniejszy sposób i zaczęła opadać, opadać — jak gdyby chciała zrównać się z podłogą. Tomotada skoczył, żeby ją podtrzymać, lecz nie było czego już podtrzymywać! Na matach leżały jedynie puste szaty pięknej istoty i ozdoby, które miała wpięte we włosy. Ciało przestało istnieć...

Tomotada ogolił głowę, złożył śluby buddyjskie i stał się wędrownym kapłanem. Przemierzył wszystkie prowincje cesarstwa i w świętych miejscach, jakie odwiedził, wznosił modły za duszę Aoyagi. Dotarłszy w swej pielgrzymce do Echizen, postanowił odszukać dom rodziców ukochanej. Lecz kiedy znalazł się w samotnej okolicy pośród wzgórz, spostrzegł, iż chata zniknęła i najmniejszy nawet ślad nie wskazywał, że niegdyś tu stała. Zauważył jedynie pniaki trzech wierzb — dwóch starych i jednej młodej — ściętych na długo przed jego przybyciem.

Obok pniaków owych wierzb wznosił pamiątkowy nagrobek pokryty rozmaitymi świętymi tekstami i odprawił nad nim wiele buddyjskich obrządków za duszę Aoyagi i jej rodziców.

JIU-ROKU-ZAKURA

*Uso no yona, —
Jiu-roku-zakura
Saki ni keru!*

W okręgu Wakègori w prowincji Iyo rośnie bardzo stare i sławne drzewo wiśniowe, zwane *Jiu-roku-zakura*, czyli „Drzewo Wiśniowe Dnia Szesnastego”, jako że każdego roku zakwita ono szesnastego dnia pierwszego miesiąca (według dawnego kalendarza księżycowego) — nigdy indziej. Dzień, kiedy pokrywa się kwiatami, przypada więc na Porę Wielkiego Chłodu, choć naturalnym obyczajem wiśni jest ostrożne wyczekiwanie na nadejście wiosny. Lecz *Jiu-roku-zakura* nie rozkwita własnym życiem, bowiem zamieszkuje w nim duch człowieka.

Był on samurajem z Iyo, a drzewo rośło wówczas w jego ogrodzie i kwitło o zwykłym czasie, a więc u schyłku marca lub na początku kwietnia. Bawił się pod nim będąc jeszcze

dzieckiem, a rok w rok, od z górą stu lat, jego rodzice, dziadkowie i pradziadowie zawieszali na ukwieconych gałęziach jaskrawe wstęgi kolorowego papieru z poematami pochwalnymi. On sam wielce się postarzał, przeżył wszystkie swe dzieci i nic już nie pozostało mu na świecie do miłowania prócz owego drzewa. Ale oto latem pewnego roku zwiędło ono i obumarło!

Stary człowiek niezmiernie rozpaczał, aż życzliwi sąsiedzi wyszukali dlań młodą i piękną wiśnię, i posadzili w ogrodzie w nadziei, że tym sposobem go pocieszą. Podziękował im i udawał radość, lecz w istocie serce miał przepełnione bólem, bowiem nad wyraz kochał tamto drzewo i nic tej straty nie mogło mu wynagrodzić.

Wreszcie przyszła mu do głowy szczęśliwa myśl — przypomniał sobie, jak uratować można ginące drzewo, a był to szesnasty dzień pierwszego miesiąca. Udał się samotnie do ogrodu, nisko pokłonił się ukochanej wiśni i przemówił do niej takimi oto słowy: — Zechciej; błagam cię, zakwitnąć jeszcze raz, gdyż zamierzam dla ciebie umrzeć.

[Uważa się, że za sprawą łaski bogów możliwym jest oddanie życia innej osobie lub stworzeniu, a nawet drzewu, a takie przeniesienie życia wyraża się terminem *migawari ni tatsu*, co znaczy — „dokonać czynu zastępczego”.]

Rozpostarł pod drzewem białe płótno i rozmaite narzuty i zasiadłszy na nich samurajskim obyczajem popełnił *hara-kiri*, a jego duch wszedł w drzewo, które w tej samej godzinie pokryło się kwiatami.

I od tamtego czasu co rok zakwita szesnastego dnia pierwszego miesiąca, w porze śniegów.

SEN AKINOSUKÉ

W okręgu Toichi w prowincji Yamato żył sobie *goshi* o imieniu Miyata Akinosukè. (W tym miejscu muszę wyjaśnić, że w Japonii w czasach feudalnych istniała uprzywilejowana klasa żołnierzy-rolników, posiadaczy ziemi, odpowiadająca na przykład klasie yeomenów w Anglii; zwani byli oni właśnie *goshi*.)

W ogrodzie Akinosukè rósł wspaniały wiekowy cedr, pod którym zwykł on wypoczywać w gorące dni. Pewnego bardzo ciepłego popołudnia siedział tam w towarzystwie dwóch przyjaciół, także *goshi*, rozmawiając i popijając wino, kiedy naraz poczuł wielką senność — tak wielką, że poprosił swych przyjaciół, by wybaczyli mu, iż zdrzemnie się w ich obecności, po czym położył się u stóp drzewa i jał śnić taki oto sen: Wydało mu się, że gdy leżał w swym ogrodzie, ujrzał procesję podobną orszakowi jakiegoś wielkiego *daimyo*, schodzącą ze wzgórza nie opodal i że wstał, aby na nią popatrzeć. Wspaniała była owa procesja, przewyższająca przepychem wszystko, co dotąd zdarzyło mu się oglądać, a kierowała się ona ku jego domostwu. Na jej czele kroczyło wielu młodych mężczyzn w bogatych strojach, zaprzęgniętych do olbrzymiego powozu-pałacu z laki, czyli *goshoguruma*, wyłożonego jaskrawobłękitnym jedwabiem. Gdy orszak zbliżył się do jego domu, zatrzymał się, a suto odziany mężczyzna — bez wątpienia osobistość wysokiej rangi - podszedł do Akinosukè i złożył mu głęboki ukłon.

— Czcigodny panie — powiedział. — Widzisz przed sobą *kèrai* (wasala) Kokuo Tokoyo *. Mój pan i Król rozkazuje mi, bym pozdrowił cię w jego dostojnym imieniu i oddał się

* Nazwa *Tokoyo* nie posiada określonego znaczenia. Zależnie od okoliczności, odnosić się może do jakiegokolwiek nieznanego kraju — bądź kraju nie odkrytego, skąd żaden podróżnik nie powraca — albo do owej Zaczarowanej Krainy z daleko-wschodnich baśni, Królestwa Horai. Wyraz *Kokuo* oznacza władcę kraju, Króla. Oryginalny zwrot *Tokoyo no Kokuo* może więc być przetłumaczony tu jako „Władca Horai” lub „Król Zaczarowanej Krainy”.

całkowicie na twoje usługi. Każe mi także powiadomić cię, iż łaskawie życzy sobie, abyś zjawił się w jego pałacu. Zechciej przeto bezzwłocznie wsiąść do tego szacownego powozu, specjalnie przezeń po ciebie przysłanego.

Usłyszawszy te słowa, Akinosukè pragnął udzielić stosownej odpowiedzi, lecz zdziwienie i zakłopotanie całkiem odebrały mu mowę. Opuściła go również w tym samym momencie wola, tak że mógł już uczynić tylko to, co mu polecono. Wsiadł więc do powozu, a obok niego zajął miejsce *kèrai* i dał sygnał do odjazdu. Mężczyźni ujęli w dłonie jedwabne sznury, skierowali wielki pojazd na południe i podróż się rozpoczęła.

Ku jego wielkiemu zdumieniu, trwała ona nadzwyczaj krótko i niebawem zatrzymali się przed olbrzymią dwupiętrową bramą (*romon*) w chińskim stylu, której przedtem nigdy nie widział. *Kèrai* wysiadł i oznajmił: — Idę, by obwieścić twe łaskawe przybycie — po czym zniknął. Po chwili oczekiwania, Akinosukè zobaczył dwóch szlachetnie wyglądających dostojników zmierzających ku niemu od strony bramy, przyodzianych w szaty z purpurowego jedwabiu i strzeliste nakrycia głowy o kształcie znamionującym wysoką godność. Powitawszy go z szacunkiem, pomogli mu wsiąść z powozu i powiedli przez wielką bramę i rozległy ogród w stronę pałacu, którego fronton zdawał się ciągnąć całymi milami na wschód i na zachód. Wprowadzili go do sali gościnniej, nad wyraz przestronnej i bogatej, tam zaś poprosili go, by spoczął na honorowym miejscu, a sami z uszanowaniem zasiedli nieco z boku. Wtedy służebnice przyniosły przekąski, a gdy Akinosukè posilił się, jego przewodnicy w purpurze pokłonili się nisko i zwrócili się doń takimi oto słowy, stosownie do dworskiej etykiety mówiąc na przemian:

— Jest naszym zaszczytnym obowiązkiem wyjawić ci... przyczynę, dla której zostałeś tu wezwany... Nasz pan i Król łaskawie pragnie, abyś stał się jego zięciem... a życzeniem i rozkazem jest, by ślub... z Dostojną Księżniczką, jego dziewiczą córką, odbył się jeszcze dzisiaj... Niebawem odprowadzimy cię do sali audiencyjnej... gdzie Jego Dostojność już w tej chwili oczekuje na twoje przybycie... Koniecznym jednak jest wprzód wyposażyć cię... w godne tej ceremonii szaty. *

Powiedziawszy to, obaj równocześnie wstali i udali się do alkowy, gdzie stał olbrzymi kufer ze złotej laki. Otworzyli go i wydobyli rozmaite suknie i ozdoby z bogatych materii oraz *kamuri*, czyli królewskie przykrycie głowy. Przyodziali w nie Akinosukè, odpowiednio do jego książęcej pozycji, i powiedli do sali audiencyjnej, gdzie na *daisa* ** oczekiwał Kokuo Tokoyo w wysokiej czarnej czapce symbolizującej królewską władzę i stroju z żółtego jedwabiu. Przed *daisa*, po lewej i po prawej stronie, siedzieli rzędem dostojnicy dworscy — nieruchomo i majestatycznie niczym posągi w świątyni. Stanąwszy między nimi, Akinosukè złożył Królowi hołd trzykrotnym ukłonem wyrażającym oddanie, a ten w odpowiedzi pozdrowił go łaskawymi słowy i rzekł:

— Wyjawiono już ci przyczynę, dla której wezwany zostałeś przed Nasze oblicze. Zdecydowaliśmy, że usynowimy ciebie jako męża Naszej jedynej córki. A teraz odbędzie się ceremonia ślubna.

Kiedy skończył, rozbrzmiały dźwięki radosnej muzyki i zza kurtyny wyłonił się długi orszak pięknych dam dworu, by towarzyszyć Akinosukèmu w drodze do komnaty, gdzie oczekiwała nań panna młoda.

Ogromna była to komnata, lecz z trudem pomieścić mogła tłumnie zgromadzonych gości — świadków uroczystości zaślubin. Wszyscy pokłonili się królewskiemu zięciowi, gdy zajął miejsce na przygotowanej dlań poduszce, naprzeciw narzeczonej, a ona wydawała się być niebiańską panną — nawet szaty jej były równie piękne jak letnie niebo. Związek mał-

* Zgodnie ze starym dworskim obyczajem, ostatni zwrot musi być wypowiedziany przez obu dworzan jednocześnie. Wszystkie takie ceremonialne rytuały wciąż jeszcze można obejrzeć w teatrze japońskim.

** Taką nazwę dano podwyższeniu, lub też podium, na którym zasiadał książę albo władca. Słowo to znaczy dosłownie „wielki tron”.

żeński zawarty został pośród wielkiej radości, zaś po ceremonii młodą parę odprowadzono do apartamentów w innej części pałacu i tam oboje przyjęli gratulacje od wielu szlachejnych osobistości i otrzymali niezliczone dary.

Kilka dni później Akinosukè musiał ponownie stawić się w sali tronowej, a Król potraktował go tym razem z jeszcze większą łaskawością niż poprzednio i oświadczył, co następuje:

— W południowo-zachodniej części Naszego dominium leży wyspa zwana Raishu. Mianowaliśmy cię owej wyspy gubernatorem. Znajdziesz jej mieszkańców lojalnymi i posłusznymi, lecz prawa ich wciąż jeszcze nie są należycie zgodne z prawami Tokoyo, a ich obyczaje dotąd nie zostały odpowiednio unormowane. Powierzamy ci przeto obowiązek poprawienia tam warunków życia tak dalece jak będzie to możliwe i żądamy, byś władając kierował się łagodnością i mądrością. Ukończono już wszystkie przygotowania nieodzowne do waszej tam podróży.

Tak oto Akinosukè i jego młoda żona opuścili pałac w Tokoyo, a w drodze do przystani towarzyszyła im wielka świta złożona z szlachty i dostojników. Weszli na pokład imperialnego okrętu danego im przez Króla i dzięki pomyślnym wiatrom szczęśliwie dopłynęli do Raishu, gdzie na plaży powitali ich dobrzy ludzie zamieszkujący wyspę.

Akinosukè natychmiast przystąpił do pełnienia swych obowiązków, a okazały się one niezbyt trudnymi. Przez pierwsze trzy lata sprawowania urzędu gubernatora zajęty był głównie układaniem i wydawaniem praw, w tym zaś pomagali mu mądrzy doradcy i praca ta nigdy nie wydała mu się niemiłą. Gdy zakończył to dzieło nie miał już innych powinności ponad uczestniczenie w uświęconych starożytnym obyczajem rytuałach i ceremoniach. Kraj był tak zdrowy i urodzajny, że nie znano tam chorób ani niedostatku, a ludzie tak uczciwi, iż ani razu prawo nie zostało złamane. Akinosukè mieszkał i zarządzał Raishu przez z górą dwadzieścia lat i przez cały ten okres czasu nawet cień zmartwienia nie padł na jego życie. Lecz oto w dwudziestym czwartym roku władania wyspą przyszło wielkie nieszczęście, bowiem jego żona, która powiła mu siedmioro dzieci, pięciu chłopców i dwie dziewczynki, zachorowała i umarła. Pochowano ją na szczycie malowniczego wzgórza w okręgu Hanryoko, a na grobie jej postawiono wspianą pomnik. Po tej stracie Akinosukè odczuwał jednak tak ogromny smutek, iż stracił wszelką chęć do dalszego życia.

Kiedy przewidziany prawem czas żałoby dobiegł końca, na Raishu przybył z pałacu Tokoyo *shisha*, czyli królewski posłaniec. Przekazał on gubernatorowi wyrazy współczucia i powiedział:

— Oto są słowo, które nasz dostojny władca, Król Tokoyo, kazał mi powtórzyć: „Teraz odeślemy cię na powrót do twych ludzi i kraju. Co do siedmiorga dzieci, pamiętaj, iż są one wnukami i wnuczkami Króla i otoczone zostaną godną ich urodzenia opieką. Przeto nie dopuszczaj do siebie troski o ich los”.

Otrzymałszy ów nakaz, Akinosukè posłusznie rozpoczął przygotowania do odjazdu, a gdy uporządkował wszystkie swe sprawy i ceremonialnie pożegnał się z doradcami i zaufanymi urzędnikami, z wielkimi honorami odprowadzony został do portu. Tam wsiadł na oczekujący nań okręt i pożegłował po błękitnym morzu, pod błękitnym niebem, a zarys Raishu stał się także błękitny, później poszarzał, aż wreszcie rozpląnął się w dali na zawsze i Akinosukè... obudził się pod cedrem, w ogrodzie!

Przez chwilę był odurzony i oszołomiony snem, lecz spostrzegł, że obaj jego przyjaciele dalej siedzą obok niego popijając wino i wesoło rozmawiając. Spoglądał na nich całkiem ogłupiały, aż wreszcie głośno wykrzyknął:

— Jakże to dziwne!

— Akinosukèmu musiało się coś przyśnić — wybuchnął śmiechem jeden z nich. — Cóż takiego dziwnego zobaczył, Akinosukè?

Wtedy opowiedział im swój sen — sen o dwudziestu trzech latach spędzonych na wy-

spie Raishu w królestwie Tokoyo, a oni zdumieli się, bo w istocie nie spał on dłużej niż kilka minut.

— Doprawdy, niezwykle rzeczy zobaczyłeś — powiedział pierwszy *goshi* — ale i my zauważyliśmy coś bardzo dziwnego, kiedy drzemałeś. Oto mały, żółty motyl unosił się nad twą twarzą przez chwilę lub dwie, po czym lekko spoczął obok ciebie, nie opodał drzewa. W tymże momencie z dziury w ziemi wyszła olbrzymia mrówka, pochwyciła go i wciągnęła w głąb owej dziury. Tuż przed twoim obudzeniem się motyl wydostał się stamtąd, fruwał nad twoją twarzą jak przedtem i nagle zniknął. Nie mamy pojęcia, dokąd poleciał.

— A może była to dusza Akinosukè? — rzekł drugi *goshi*. — W rzeczy samej zdawało mi się, iż widziałem, jak wleciał ci do ust. Ale nawet jeśli była to twoja dusza, Akinosukè, nie wyjaśnia to snu.

— Mrówki mogłyby go wyjaśnić — odezwał się pierwszy. — To przedziwne owady — kto wie, czy nie są one nawet istotami nadprzyrodzonymi... W każdym bądź razie, pod tym cedrem z całą pewnością znajduje się wielkie mrowisko.

— Zbadajmy je! — wykrzyknął Akinosukè, niezmiernie poruszony tą uwagą przyjaciela i pośpieszył po szpadel.

Ziemia wokół cedru i pod nim okazała się zryta w niezwykle sposób przez ogromną kolonię mrówek. Co więcej, w rozległych pieczarach wzniosły one maleńkie budowle ze słomy, gliny i łądy, nadzwyczaj podobne miniaturowym miastom, a w jednym z gmachów, znacznie przewyższającym inne swą wielkością, niewiarygodna ilość mrówek kłębiła się wokół jednej ogromnej — o żółtawych skrzydłach i długim czarnym łebku.

— Patrzcie! Oto i król z mojego snu! — krzyknął Akinosukè. — I pałac Tokoyo!... Jakie to dziwne!... Raishu powinna leżeć na południowy wschód stąd, na lewo od tego dużego korzenia... Jest! Oto i ona!... To doprawdy dziwne... Przekonany jestem, że teraz uda mi się odszukać górę Hanryoko i grób księżniczki...

Dokładnie przetrząsnął zrujnowane mrowisko i w końcu znalazł maleńki kopczyk, na którego szczycie zatknięty był wygładzony przez wodę kamyk, kształtem swym przypominający buddyjskie nagrobki. Pod nim zaś znajdowały się obtoczone gliną zwłoki mrówczej samiczki.

RIKI-BAKA

Na imię miał Riki, co oznaczało Siłę, lecz ludzie nazywali go Riki-Prostaczek lub Riki-Głupek — *Riki-Baka* — bowiem urodził się, by żyć w stanie wiecznego dzieciństwa. Z tego też powodu traktowali go z łagodnością, nawet gdy podpalił dom przyłożywszy płonąca drzazgę do moskitiery, i patrząc na ogień klaskał z uciechy w dłonie. Mimo iż w szesnastym roku życia był wysokim, silnym chłopcem, jego rozum dalej trwał w szczęśliwym wieku dwóch lat. Starsze dzieci z sąsiedztwa nie chciały się z nim bawić, gdyż nie potrafił nauczyć się ich piosenek i gier, przebywał więc pośród najmłodszych. Jego ulubioną zabawką był kij od miotły, którego używał jako konika, i niekiedy całymi godzinami cwałował w górę i w dół zbocza naprzeciw mojego domu, wybuchając co chwilę zdumiewająco gromkim śmiechem. Wreszcie ze względu na ową hałaśliwość stał się prawdziwym utrapieniem i zmuszony byłem powiedzieć mu, aby znalazł sobie inny plac zabaw. Ukłonił się posłusznie i oddalił się ze smutkiem, ciągnąc za sobą kij od miotły. Zawsze łagodny i całkiem nieszkodliwy — o ile naturalnie nie dano mu sposobności igrania z ogniem — rzadko stwarzał ludziom powody do uskarżania się. Jego udział w życiu naszej ulicy nie był większy od udziału psa czy kurczęcia,

i kiedy w końcu zniknął, w ogóle tego braku nie odczułem. Minęło wiele miesięcy, aż zdarzyło się coś, co przypomniało mi o Riki.

— Co się stało z Riki? — spytałem wówczas starego drwala, który zaopatrywał naszą okolicę w opał, a chłopiec często pomagał mu w roznoszeniu naręczy drew.

— Z Riki-Baka? Ach, Riki nie żyje. Biedny chłopak... Tak, tak, umarł całkiem nagle jakieś dwa lata temu. Lekarze powiedzieli, że miał chorobę mózgu. A wie pan, o tym biednym Riki krąży dziwna opowieść.

Kiedy zmarł, matka napisała mu na dłoni lewej ręki „Riki-Baka”, przy czym słowo „Riki” wyraziła chińskim znakiem, a „Baka” — w *kana* *. Odmówiła także wiele modlitw, aby mógł się ponownie urodzić w szczęśliwszym otoczeniu.

I oto, trzy miesiące później w szacownej rezydencji pana Nanigashi z Kojimachi przyszedł na świat chłopczyk z hieroglifami na dłoni lewej ręki, a układały się one w nietrudny do odczytania napis — „RIKI-BAKA”!

Tak więc domownicy natychmiast domyślili się, iż owe narodziny były odpowiedzią na czyjeś modły i postanowili dokładnie sprawę tę zbadać. W końcu handlarz warzywami doniósł im, że w dzielnicy Ushigomè mieszkał upośledzony chłopiec zwany Riki-Baka, i że umarł on zeszłej jesieni. Wysłano więc dwóch służących, by odszukali jego matkę.

Gdy z ich ust dowiedziała się ona o całym wydarzeniu, niezmiernie się ucieszyła, bowiem dom Naganishi jest bardzo zamożny i sławny. Lecz służący powiedzieli jej również, że rodzina pana Naganishi zagniewana jest z powodu słowa „Baka” na dłoni dziecka... „Gdzie został Riki pochowany?” — spytali. „Pochowano go na cmentarzu Zendoji” — usłyszeli w odpowiedzi. „Daj nam nieco gliny z jego grobu” — poprosili w końcu.

Poszła więc z nimi do świątyni Zendoji i wskazała im grób syna, a oni wzięli stamtąd trochę gliny i zawinęli ją w *furoshiki* **. Dali jej za to trochę pieniędzy — dziesięć jenów.

— Do czego potrzebna im była ta glina? — spytałem drwala.

— Otóż — powiedział stary — zdaje pan sobie sprawę, że nie godziłoby się pozwolić rosnąć chłopcu z takim imieniem wypisanym na dłoni. A nie ma innej metody usunięcia znaków, które w taki sposób pojawiają się na ciele dziecka, niż ta: pocieranie skóry *gliną zebraną na grobie, gdzie spoczywa ciało z poprzedniego wcielenia...*

HORAI

Błękitna wizja głębi zatracającej się w przestworzach — morze i niebo połączone w świetlistej mgłę. Dzień jest wiosenny, a godzina poranna.

Tylko niebo i morze — jeden lazurowy ogrom... Bliżej, drobne fale przechwytyją srebrzyste promienie, wirują pasemka piany, lecz nieco dalej wszelki ruch zamiera, nie widać nic poza kolorem — zamglonym, ciepłym błękitem wodnego bezmiaru, stapiającym się z błękitem nieba. Nie ma linii widnokręgu, dal płynnie przechodzi w przestrzeń. Nieskończona głębia otwiera się przed oczami i olbrzymim łukiem wznosi ponad głowę, a wraz z wysokością barwa nabiera mocy. Pośród tego błękitnego bezkresu rozpościera się niska wizja pałacowych wież o strzelistych, rogatych dachach, wygiętych niczym półksiężyc — cień świętości niezwyklej i starożytnej, oświetlonej łagodnym jak wspomnienie blaskiem słońca.

Tym, co starałem się opisać, jest *kakèmono*, japońskie malowidło na jedwabiu, które

* *Kana (Katakana)* — japońskie pismo sylabiczne. (przyp. red.).

** Kwadratowy kawałek tkaniny bawełnianej lub innego materiału używany do noszenia niewielkich przedmiotów.

wisi na ścianie mej alkowy. Jego tytuł brzmi *SHINKIRO* — „*Miraż*”. Lecz nie sposób nie rozpoznać zarysów owej wizji: to lśniące portale błogosławionego Horai i księżycowe dachy Pałacu Króla-Smoka, a ich kształty — choć namalowane współczesnym japońskim pędzlem — są kształtami chińskich budowli sprzed dwudziestu jeden stuleci.

A oto, co mówi się o tej krainie w księgach chińskich z tamtych czasów:

„Do Horai ani śmierć ani ból nie mają dostępu, a zimy są tam nieznanne. Kwiaty nie więdną, a owoce nie opadają, a jeśli ktoś owych owoców skosztuje choćby jeden tylko raz, nie zazna już pragnienia ani głodu. W Horai rosną czarodziejskie rośliny *So-rin-shi*, *Riku-go-aoi* i *Ban-kon-to*, które leczą wszelkie choroby; rośnie również magiczna trawa *Yo-shin-shi*, która przywraca życie umarłym. Zrasza ją zaklęta woda, a jeden jej łyk zapewnia wieczną młodość. Mieszkańcy Horai spożywają ryż z maleńkich miseczek, z których jednak nie ubywa, aż głód zostanie nasycony; wino piją zaś z maleńkich czarek, lecz jak tego by nie pić, czarki takiej opróżnić się nie uda, aż nadejdzie rozkoszne oszołomienie trunkiem”.

Tyle, i jeszcze więcej, przekazują nam legendy z epoki dynastii Sin. Ale nie wydaje się prawdopodobne, żeby ludzie, którzy je spisali, widzieli kiedykolwiek Horai, nawet jako miraż. W rzeczy samej, nie ma zaczarowanych owoców czyniących człowieka raz na zawsze sytym, ani magicznej trawy wskrzeszającej zmarłych, ani zaklętego źródła czy wody, ani miseczek, z których nie ubywa ryżu, ani czarek, w których nie może braknąć wina. Nie jest także prawdą, iż smutek i śmierć nie nawiedzają Horai, jak nie jest prawdą, że nie ma tam zim. Zimy w Horai są mroźne, wiatr przenika do szpiku kości, a dachy Pałacu Króla-Smoka pokrywają olbrzymie śnieżne czapy.

Pomimo to, są jednak w Horai rzeczy cudowne, choć o najcudowniejszej z nich nie wspomina żaden chiński pisarz. Mam na myśli specyficzną dla tego miejsca atmosferę. Za jej przyczyną blask słońca w Horai zdaje się bielszy niż gdzie indziej — podobny mlecznemu światłu, które nie poraża — zaskakująco czysty i łagodny. Owa atmosfera różni się od znanej współczesnemu człowiekowi — jest tak starożytna, iż lęk mnie ogarnia, gdy nawet staram się to sobie uzmysłwić. I nie stanowi mieszaniny azotu i tlenu. Nie tworzy jej zwyczajne powietrze, lecz duch — substancja złożona z kwintylionów pokoleń dusz zespolonych w jedną niezmierną półprzejrzystość. Dusz ludzi, którzy myśleli w sposób pod każdym względem niepodobny naszemu. Kiedy człowiek śmiertelny oddycha tą atmosferą, do jego krwi przenikają tchnienia owych dusz i ogarniają jego umysł, na nowo kształtują jego pojmowanie Czasu i Przestrzeni, by mógł patrzeć, czuć i myśleć, jak one niegdyś patrzyły, czuły i myślały. Łagodne niczym sen są te przemiany, ale w końcu odnajdujemy Horai z chińskich kronik:

„Ponieważ prawdziwe zło jest tam nieznanne, serca ludzi nie starzeją się, a pozostając w sercu młodymi, mieszkańcy Horai uśmiechają się od chwili urodzin aż do śmierci. Kiedy natomiast bogowie ześlą między nich smutek, ukrywają twarze pod zasłonami, dopóki nie przemienie. Mieszkańcy Horai miłują się wzajemnie i darzą zaufaniem, jak gdyby należeli do jednej rodziny. Mowa kobiet podobna jest śpiewowi ptaków, gdyż serca ich lekkie są jak dusze ptaków, a powiewające rękawy kimon bawiących się dziewcząt przypominają trzepot rozłożystych, miękkich skrzydeł. Oprócz żałoby, w Horai niczego nie tai się przed innymi, nie ma bowiem powodów do wstydu, niczego również nie zamyka się pod kluczem, bowiem kradzieże nigdy się nie zdarzają. W noc i w dzień wszystkie drzwi są otwarte, jako że nie istnieją racje do obaw. Ci ludzie, choć śmiertelni, są rzeczywiście zaczarowani, dlatego też wszystko, wyjąwszy Pałac Króla-Smoka, jest maleńkie, niezwykle i zdumiewające”.

Wiele z tego wizerunku stanowi rezultat wdychania duchowej atmosfery, ale nie wszystko. Czar rzucony przez umarłych jest w końcu niczym innym jak zauroczeniem Ideałem, przebłyskiem odwiecznej nadziei. Coś z tej nadziei spełnia się w niejednym sercu — w prostym pięknie wolnego od egoizmu życia, w słodczy kobiety...

Złe wiatry z Zachodu wieją dziś nad Horai i — o zgrozo! — magiczna atmosfera kurczy

się pod ich uderzeniami. Unosi się już za ledwie miejscami, niczym smugi obłoków wędrujących przez pejzaże japońskich malarzy. Pod tymi strzępami czarodziejskiej mgiełki wciąż jeszcze odnaleźć można Horai — ale już nigdzie indziej... Pamiętajcie, że Horai zwane jest także Shinkiro, co znaczy „miraż, wizja nieuchwytnego”. A wizja taka rozplywa się bezpowrotnie, by powracać już tylko w obrazach, wierszach i snach...

STUDIA O OWADACH

MOTYLE

Ach, gdybym żywić mógł nadzieję, że dostąpię takiego szczęścia jak ów chiński uczyony, występujący w tradycji japońskiej pod imieniem Rosan! Umiłowały go dwie wróżki, istoty niebiańskie, i co dziesięć dni przybywały doń, by opowiadać rozmaite historie o motylach. I oto mamy cudowne chińskie opowieści o motylach, niezwykle opowieści, a ja bardzo chciałbym je poznać. Lecz nigdy nie nauczę się czytać po chińsku, a ta garstka japońskich wierszy, którą z najwyższym trudem udaje mi się przetłumaczyć, zawiera tak wiele aluzji do chińskich podań, że odczuwam męki podobne torturom Tantalą... No i w rzeczy samej, żadne wróżki nie złożą wizyty osobie równie sceptycznej jak ja.

Chciałbym na przykład poznać dokładniej opowieść o owej chińskiej dziewczynie, tak pięknej i wonnej, że motyle wzięły ją za kwiat i całą chmarą ścięły. Chciałbym również dowiedzieć się czegoś więcej o motylach, którym cesarz Genso — znany także jako Ming Hwang — powierzał wybór swych oblubienic... W ogrodzie nadzwyczajnej wspaniałości zwykł on wydawać przyjęcia z winem, a uwolnione z klatek motyle miały lecieć ku najpiękniejszej spośród zebranych tam dam wielkiej urody i wówczas na nią spływała cesarska łaska. Lecz kiedy Genso Kotei ujrzał Yokihę (Chińczycy zwą ją Yang-Kwei-Fei), nie pozwolił, by motyle zań zdecydowały, co okazało się nad wyraz niefortunnym, bowiem kobieta ta ścięgnęła na niego wielkie nieszczęście... Chciałbym jeszcze bliżej zaznajomić się z przeżyciami chińskiego uczonego, uwiecznionego w japońskiej literaturze pod imieniem Soshu, który śnił, iż zamienił się w motyla i we śnie doznał wszelkich emocji właściwych tym owadom. W istocie to jego dusza błąkała się pod tą postacią, a kiedy przebudził się, wspomnienia i uczucia z owej egzystencji pozostały tak żywe w jego pamięci, że nie był już odtąd zdolny postępować jak inni ludzie... I wreszcie, chciałbym przeczytać pewien chiński tekst, zawierający oficjalną klasyfikację rozmaitych motyli jako duchów cesarza i dworskich dostojników.

Wyjawszy nieco poezji, większość japońskiej literatury o motylach zdaje się być pochodzenia chińskiego. Nawet tradycyjna narodowa wrażliwość w traktowaniu tego tematu, która znalazła tak rozkoszny wyraz w sztuce, pieśni i obyczaju, pierwotnie mogła rozwinąć się pod wpływem chińskich nauk. Chiński precedens bez wątpienia wyjaśnia, czemu japońscy poeci i malarze bardzo często na *geimyo*, czyli przydomek artystyczny, obierali takie imiona jak Chomu („Motyli Sen”), Icho („Samotny Motyl”), etc. Po dziś dzień *geimyo* w rodzaju Chohana („Kwiat Motyla”), Chokichi („Los Motyla”), czy Chonosuke („Pomoc Motyla”) są ulubionymi wśród tancerek. Oprócz przydomków artystycznych powołujących się na motyle, wciąż jeszcze w użyciu są imiona własne (*yobina*) Ko-cho lub Cho — „Motyl”. Z reguły noszą je kobiety, zdarzają się jednak pewne zdumiewające wyjątki... Warto tu wspomnieć, że w prowincji Mutsu zachował się dawny i osobliwy zwyczaj nazywania najmłodszej córki *Tekona*, które to dziwne słowo, gdzie indziej całkiem już zapomniane, w dialekcie Mutsu oznacza motyla. W klasycznych czasach wyrazu tego stosowano również w odniesieniu do pięknej kobiety.

Nie jest wykluczone, iż niektóre dziwne wierzenia japońskie dotyczące motyli także wywodzą się z Chin, choć w istocie mogą być one starsze niż same Chiny. Najbardziej z nich interesujące, jak sądzę, mówi, że duszy żywego człowieka zdarza się wędrować pod postacią

motyla. Z tego przeświadczenia wywodły się pewne osobliwe poglądy — dla przykładu, jeśli do twego pokoju gościnnego wleci motyl i przysiądzie na bambusowym parawanie, osoba, którą miłujesz najbardziej, właśnie zmierza do ciebie z wizytą. Lecz wiara, iż w motyla wcielić się może ludzka dusza, nie daje powodów, by się go obawiać. Zdarzają się jednak wypadki, kiedy i motyle wzbudzić mogą trwogę, pojawiając się w olbrzymich ilościach, a historia Japonii odnotowuje podobne zdarzenie. Gdy Taira-no-Masakado skrycie przygotowywał swą sławną rebelię, w Kioto zaobserwowano tak ogromny ich rój, że wszystkich ogarnęło przerażenie. Zjawisko to odczytano jako zapowiedź nadciągającego nieszczęścia. Kto wie, może owady te były duszami tysięcy ludzi skazanych na zagładę w walce, w przeddzień wojny poruszonymi tajemnym przeczuciem bliskiej śmierci...

Według japońskich wierzeń, motyl może być tak duchem człowieka żyjącego jak i zmarłego. Obyczajem dusz jest w rzeczy samej przybieranie tej postaci, by oznajmić nadejście chwili ostatecznego opuszczenia ciała. Dlatego każdy motyl, który wleci do domu, winien się spotkać z życzliwym przyjęciem.

Wiele aluzji do tego wierzenia i związanych z nim osobliwych przesądów odnajdujemy w popularnym dramacie. Niechaj znana sztuka *Tondè-deru-Kocho-no-Kanza-shi*, co znaczy — „Latająca szpilka do włosów Kocho”, posłuży nam za przykład. Fałszywie oskarżona i okrutnie traktowana piękna Kocho odbiera sobie życie. Jej mściciel długo i daremnie poszukuje prawdziwego sprawcy zła, ale oto wreszcie należąca do zmarłej szpilka do włosów zamienia się w motyla i unosząc się nad kryjówką nikczemnika umożliwia dokonanie zemsty.

Nie należy naturalnie przypisywać żadnych cech nadprzyrodzonych wielkim papierowym motyloom (*o-cho* i *mè-cho*) widywanym na weselach. Jako ozdoby, symbolizować mają jedynie radość z zawarcia miłosnego związku i życzenie, by młoda para wspólnie przeszła przez życie niczym dwa motyle lekko przelatujące nad pięknym ogrodem — to wzbijając się w górę, to opadając w dół, lecz nigdy nadmiernie się nie rozłączając.

II

Niewielki wybór *haiku* o motylach pomoże zilustrować japońskie zainteresowanie estetyczną stroną tego tematu. Niektóre z nich są ledwie obrazkami, kolorowymi miniaturkami naszkicowanymi przy pomocy siedemnastu sylab, inne zaś — niczym więcej niż uroczymi fantazjami lub wdzięcznymi sugestiami. Czytelnik spostrzeże tu różnorodność, choć prawdopodobnie do samych wierszy nie będzie przykładał szczególnej wagi. Zamiłowanie do japońskiej poezji z gatunku epigramatów rozwija się bardzo powoli i dopiero stopniowo, po cierpliwych studiach, zaczyna się doceniać możliwości ukryte w podobnej kompozycji. Pochopni krytycy utrzymują, że nazbyt poważne traktowanie owych siedemnastosylabowych poematów „byłoby absurdem”. Cóż w takim więc razie począć ze słynnym wierszem Crawshawa o cudzie podczas uroczystości weselnych w Kanie?

Nympha pudica Deum vidit, et erubuit. *

Zaledwie czternaście sylab i — nieśmiertelność! A przy pomocy siedemnastu japońskich sylab dokonano rzeczy równie wspaniałych — zaiste! znacznie wspanialszych — i nie raz czy dwa razy, lecz prawdopodobnie po tysiącokroć... Ale w poniższych *haiku*, wybranych z innych niż literackie względów, nie ma nic nadzwyczajnego.

* „Skromna nimfa Boga swego ujrzała i rumieńcem spłonęła”. Podwójne znaczenie słowa *nympha*, przez poetów klasycznych używanego na określenie studni, lub świętości studni czy źródła, przywołuje na myśl wdzięczną grę słów, jakiej oddają się poeci japońscy.

Nugi-kakuru *
Haori sugata no
Kocho kana!

[*Podobny zdejmowanemu haori — tak oto wygląda motyl!*]

Torisashi no
Sao no jama suru,
Kocho kana!

[*Ach, na drodze tyczki ptasznika wciąż staje motyl!*] **

Tsuriganè ni
Tomarità nemuru
Kocho kana!

[*Przysiadłszy na dzwonie świątyni, motyl śpi!*]

Nèru-uchi mo
Asobu-yumè wo ya —
Kusa no cho!

[*Nawet gdy śpi, śni o zabawie — ach, ten motyl z łąk!*] ***

Oki, oki yo!
Waga tomo ni sen,
Nèru-kocho!

[*Zbudź się, zbudź! — Uczynię cię swym towarzyszem, o śpiący motylu!*] ****

Kago no tori
Cho wo urayamu
Metsuki kana!

[*Jakże smutne są oczy tego uwięzionego ptaka! — Jakże zazdrości on motylowi!*]

* Częściej pisze się *nugi-kakèru*, co znaczy „zdjąć i powiesić” albo — jak w tym wierszu — „zacząć zdejmować”. Bardziej luźnym, za to pełniej oddającym treść, tłumaczeniem całości byłoby: „Kobieta” zdejmująca *haori* podobna jest motylowi!” Aby w pełni docenić to porównanie, trzeba znać japońskie stroje. *Haori* jest jedwabnym okryciem wierzchnim, przypominającym nieco pelerynę z rękawami, noszonym zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. *Haori* kobiety — o nim tu bowiem mowa — jest zazwyczaj bogatsze pod względem kolorów i materiału, zaś spodnią jego część obszywa się zwykle jedwabiem w jaskrawym kolorze, nierzadko — wielobarwnym. Powiewna wspaniałość *haori* objawia się najpełniej właśnie w momencie zdejmowania go, gdy ukazuje się także owo olśniewająco barwne podbicie. Widok ten może śmiało porównany być do fruwającego motyla.

** Tyczka ptasznika pokryta jest lepem na ptaki i wers ten sugeruje, że natrętnie latając w jej zasięgu, motyl utrudnia posłużenie się nią człowiekowi. Widok oblepionego lepem owada mógłby bowiem ostrzec ptaki, *Jama suru* znaczy „przeszkadzać” lub „powstrzymywać”.

*** Nawet kiedy motyl odpoczywa, jego skrzydła poruszają się — jak gdyby śnił o lataniu.

**** Niewielki ten poemat napisał największy mistrz w układaniu haiku, Basho, z zamiarem wyrażenia radosnych uczuć czasu wiosny.

Cho tondè —
Kazè naki hi to mo
Miezari ki!

[*Motyle trzepoczą, choć dzień jest bezwietrzny!*] *

Rakkwa èda ni
Kaeru to mirèba
Kocho kana!

[*Ujrzałem, jak opadły kwiat powraca na gałąź — lecz patrzcie, to tylko motyl!*] **

Chiru-hana ni —
Karusa arasou
Kocho kana!

[*Jakże lekkością pragnie motyl dorównać opadającym kwiatom!*] ***

Chocho ya!
Onna no michi no
Ato ya saki!

[*Spójrzcie na tego motyla towarzyszącego kobiecie — raz fruwa za nią, raz przed nią!*]

Chocho ya!
Hana-nusubito wo
Tsukètè-yuku!

[*Spójrzcie na tego motyla! Ściga człowieka, który ukradł kwiaty!*]

Aki no cho
Tomo nakèrèba ya;
Hito ni tsuku.

[*Biedny jesienny motyl! — Pozostawszy bez towarzysza (własnego gatunku), podąża za człowiekiem!*]

Owarètè mo,
Isoganu furi no
Chocho kana!

[*Ach, ten motyl! Nawet ścigany nie wydaje się śpieszyć!*]

* Znaczy to, że choć dzień był spokojny, sposób w jaki latają motyle sprawia wrażenie, iż dmie silny wicher.

** Jest to aluzja do buddyjskiego przysłowia *Rakkwa èda ni kaerazu; ha-kyo futatabi terasazu* — „Opadły kwiat nie powraca na gałąź; rozbite lustro nie daje odbicia”. Tak mówi przysłowie, a jednak...

*** Jest to prawdopodobnie aluzja do lekkości, z jaką opadają płatki wiśni.

Cho wa mina
Jiu-shichi-hachi no
Sugata kana!

[*Jeśli chodzi o motyle, wszystkie wyglądają jak gdyby miały siedemnaście-osiemnaście lat!*] *

Cho tobu ya —
Kono yo no urami
Naki yo ni!

[*Jakże motyl figluje — jak gdyby nie było na tym świecie nienawiści (lub zawiści)!]*

Cho tobu ya,
Kono yo ni nozomi
Nai yo ni!

[*Jakże motyl figluje — jak gdyby w tym życiu niczego więcej nie pragnął!*]

Nami no hana ni
Tomari kanètaru,
Kocho kana!

[*Trudnym doprawdy znalazłeś spoczęcie na pienistych kwiatach fal — nieszczęsny motylu!*]

Mutumashi ya! —
Umarè-kawaraba
Nobè no cho.

[*Jeśli (w następnym naszym życiu) urodzimy się jako motyle latające nad wrzosowiskiem, kto wie, czy wtedy nie będziemy razem szczęśliwi!*] **

Nadèshiko ni
Chocho shiroshi
Tarè no kon?

[*Na różowym kwiecie przysiadł biały motyl — czyjaż to dusza, zapytuję.*]

Ichi-nichi no
Tsuma to miekèri —
Cho futatsu.

[*Żona na jeden dzień wreszcie przybyła — oto para motyli!*]

* Innymi słowy, wdzięk z jakim fruują motyle można porównać do wdzięku młodych dziewcząt odzianych w wykwintne stroje o długich, zwiewnych rękawach. Stare przysłowie japońskie mówi, że nawet diabeł jest przystojny, gdy ma osiemnaście lat.

** Być może, taki oto przekład będzie lepszy: „Szczęśliwi razem, powiadasz? Tak, gdybyśmy urodzili się jako polne motyle w którymś przyszłym życiu, wtedy moglibyśmy się pogodzić!” Wiersz ten ułożony został przez znanego poetę o imieniu Issa, gdy rozwodził się on ze swoją żoną.

Kitè wa mau,
Futari shidzuka no
Kocho kana!

[Zbliżając się do siebie, tańczą — lecz kiedy się spotkają, nieruchomieją. Ach te motyle!]

Cho wo ou
Kokoro-mochitashi
Itsumadèmo!

[Ach, gdybym zawsze miał serce (ochotę) do chwytania motyli!] *

* * *

Prócz poezji mam jeszcze jeden niezwykle przykły przykład prozy japońskiej traktującej o motylach. Oryginał, który zaledwie usiłowałem oddać w wolnym tłumaczeniu, znajduje się w osobliwej starej księdze *Mushi-Isamè* („Przestrogi dla owadów”) i przybiera on formę dyskursu z motylem. W istocie jest to dydaktyczna alegoria, poddająca pod rozwałę moralne aspekty społecznego awansu i upadku:

„Oto pod słońcem wiosennym wieją łagodne wiatry, różowo kwitną kwiaty, aksamitna jest trawa, a ludzkie serca przepełnia radość. Wszędzie wesoło fruwać motyle, a wielu poetów układa o nich chińskie i japońskie strofy.

Pora ta, o Motylu, jest w rzeczy samej czasem twej świetlanej pomyślności. Tak urodziwym się jawisz, iż na całym świecie nie znajdziesz nic nad siebie urodziwszego, a wszelkie inne owady podziwiają cię i zazdroszczą. Zaiste, nie ma wśród nich nawet jednego, który by nie czuł zawiści. Lecz nie tylko owady spoglądają na ciebie z zazdrością — także w ludziach budzisz zazdrość i podziw. Soshu z Chin przybrał we śnie twą postać, a Sakoku z Japonii przyoblekł się w twoje kształty po śmierci i objawił się jako duch. Ale zazdrość, jaką wzniesasz, dzielą nie tylko owady i ludzie — nawet rzeczy pozbawione duszy stają się tobie podobne. Spójrz na jęczmień — i on zamienia się w motyla. **

I z tej przyczyny duma cię rozpiera i myślisz sobie: «Na całym tym świecie nie masz nic ode mnie wspanialszego!» Ach, bez trudu odgaduję, co dzieje się w twym sercu — jesteś bez umiaru kontent ze swej osoby. Oto dlaczego każdemu powiewowi wiatru pozwalasz lekko się unosić we wszystkie strony, oto dlaczego ani na moment nie spocznie bez ruchu. Nieustannie powtarzasz sobie: «Na całym świecie nie ujrzyj osoby bardziej niż ja szczęśliwej».

Lecz spróbuj choć przez chwilę zadumać się nad swą przeszłością, a warto ją wspomnieć, ma ona bowiem także i wulgarną stronę. Jaką wulgarną stronę? Oto długo po urodzeniu się nie miałeś najmniejszego nawet powodu, by radować się swą postacią. Byłeś ledwie włochatą dżdżownicą żerującą na liściach kapusty, a w takiej żyłeś nędzy, że pozwolić sobie nie mogłeś na jeden choćby przyodziewek, aby okryć swą odrażającą nagość. W owych czasach wszyscy wzdrygali się z obrzydzenia patrząc na ciebie. Zaiste, miałeś rzetelny powód do wstydu, a wstydziłeś się tak ogromnie, aż nazbierałeś zeschniętych gałązek i śmieci, skleciłeś z nich gniazdo-kryjówkę i zawiesiłeś na gałęzi. A wtedy każdy na ciebie krzyczał: „Owad w przeciwdeszczowym płaszczu!” (*Mino-mushi*) *** W tych dniach swego życia poważnych dopuściłeś się grzechów. Pośród delikatnych zielonych liści pięknych drzew wiśniowych, ty i

* Dosłownie: „Zawsze mieć chciałbym chętnie do ścigania motyli serce!” Wiersz ten wyraża pragnienie, by zawsze móc się radować prostymi rzeczami, niczym szczęśliwe dziecko.

** Dawny, szeroko rozpowszechniony przesąd, który prawdopodobnie wywodzi się z Chin.

*** Nazwa ta wynika z podobieństwa okrycia larwy do *mino*, czyli słomianego płaszczka przeciwdeszczowego, noszonego przez japońskich wieśniaków.

twoi tam kamraci szkaradzieństw wielkich uczyniliście co niemiara, a widok twój sprawiał ból spragnionym oczom ludzi, którzy z daleka przybyli, by owych wiśni urodą się napawać. I winien byłeś rzeczy godnej jeszcze większej nienawiści. Wiedziałeś, że bardzo biedni wieśniacy, mężczyźni i kobiety, hodowali na swych poletkach daikon. Pod palącym słońcem tak ciężko harowali, aż konieczność nieustającego doglądania uprawy serca ich przepęliła goryczą. Lecz ty namówiłeś kompanów, aby poszli z tobą i rozsiedli się na liściach owej *daikon* i innych warzyw posadzonych przez tych ubogich ludzi. W żarłoczności swej zniszczyłeś liście, ogryzłeś je na wszystkie możliwe kształty ohydy, całkiem nie licząc się ze znojem biedaków... Takim oto byłeś stworzeniem i takie były twe uczynki.

A teraz, kiedy masz urodziwą postać, gardzisz dawnymi kamratami i gdy zdarzy ci się spotkać kogoś z nich, udajesz, że go nie znasz (dosłownie — «przybierasz minę nie-znam-cię»). Nie pragniesz już innej przyjaźni jak osób możnych i wysoko postawionych... Ach, zapomniałeś dawne czasy, nieprawdaż?

Prawdą jest, iż wielu ludzi zapomniało o przeszłości i oczarowani są widokiem twych obecnych wdzięcznych kształtów i białych skrzydełek, i układają o tobie chińskie i japońskie wiersze. Szlachetnie urodzona dama, która nie ścierpiałaby twego poprzedniego wyglądu, patrzy na ciebie z rozkoszą i pragnie, byś przysiadł na jej szpilce do włosów. Wyciąga wykwintny wachlarz w nadziei, że na nim spocznieś. Ale przypomina mi to pewną chińską opowieść o tobie, która do pochlebnych nie należy.

W czasach panowania cesarza Genso, imperialny pałac zamieszkiwały setki, tysiące nadobnych dam — taka ich zaiste mnogość, iż każdemu człowiekowi trudność nieopisaną sprawiłoby zdecydowanie, która jest najpiękniejsza. Oto więc wszystkie te urocze niewiasty zebrane zostały w jednym miejscu i wydano rozporządzenie, by tę, na czyjej szpilce do włosów usiądziesz, łaskawie powiedziano do komnaty cesarza. W tamtych dniach jedna tylko mogła być cesarzowa, co dobrym było prawem, lecz za twą przyczyną cesarz Genso wyrządził wielką szkodę krajowi. Dusza twa lekka jest i frywolna i choć pośród tak wielu kobiet niechybnie znalazłbyś kilka o czystym sercu, wiadano, że nie będziesz szukał niczego prócz piękna i pofruniesz do osoby obdarzonej najurodziwszą powierzchownością. Przeto wiele dam dworu całkiem zarzuciło stosowne niewiastom obowiązki i imiało się przeróżnych sposobów, by zdać się najpowabniejszymi. A koniec był taki, iż cesarz Genso umarł żalosną i bolesną śmiercią — wszystko z powodu twego beztroskiego i bałamutnego rozumu. W rzeczy samej, twój prawdziwy charakter łatwo dostrzec obserwując cię w innych sytuacjach. Rosną oto no przykład drzewa, jak wiecznie zielony dąb lub sosna, które nigdy nie więdną i nigdy nie opadają, lecz cały rok pozostają zielonymi. Są to drzewa stanowczego serca i silnej woli. Ale ty znieść nie możesz ich widoku i nigdy nie składasz im wizyt, twierdzisz bowiem, iż są nudnymi i nadto oficjalnymi. Tylko ku wiśniom i *kaido* *, peoniom i żółtym różom zdążasz. Lubisz je dla ozdobnych kwiatów i wszystko czynisz, by im się przypodobać. Takie postępowanie, zapewniam cię, jest wielce niewłaściwe. Rzeczywiście, rośliny te mają ładne kwiaty, lecz głód sycących owoców nie rodzą, łaskami zaś obdarzają tylko tych, którzy cenią luksus i zabawę. Dlatego właśnie rozkosz sprawiają im twe trzepoczące skrzydełka i delikatne kształty, dlatego dla ciebie są uprzejme.

Otóż w tej wiosennej porze, kiedy beztrosko tańczysz w ogrodach bogaczy lub krążysz pośród pięknych alejek kwitnących wiśni, powiadasz sobie: «Nikt na świecie nie ma podobnych moim przyjemności i równie wspaniałych przyjaciół. Niechaj ludzie myślą co chcą, lecz ja najbardziej miłuję peonie, a oblubienicą mą jest złota róża i posłuszny będę każdemu jej skinieniu. Taką jest bowiem moja duma i moja rozkosz». Oto co sobie mówisz... Ale bujny i elegancki sezon kwiatów trwa nad wyraz krótko. Niebawem one zwiędną i opadną, a w czasie letnich upałów pozostaną już tylko zielone liście, aż powieją jesienne wiatry, a wtedy i

* *Pyrus spectabilis*.

one posypia się z drzew niczym deszcz. I udziałem twym stanie się wówczas los nieszczęsnika z przysłowia *Tanomi ki no shita ni amè furu* — «Nawet z drzewa, na które tak liczyłem, kapie woda». Odszukasz dawnego przyjaciela, korzenie podgryzającego pędraka, i prosił go będziesz, by zezwolił ci wrócić do twej dawnej norki. Lecz teraz, mając skrzydła, nie będziesz mógł się do niej wcisnąć i nigdzie między niebem a ziemi nie znajdziesz schronienia dla swego ciała, a zeschnięta trawa bagienna nie da ci nawet kropli rosy, byś zwilżył język. I nie pozostanie ci już nic, tylko położyć się i umrzeć. A wszystko z powodu twego beztroskiego i frywolnego serca... Ach, cóż to za żalony koniec!...”

III

Jak już wspomniałem, większość japońskich opowieści o motylach wydaje się pochodzić z Chin. Lecz znam jedno, które prawdopodobnie jest tutejsze i sądzę, że warto jest przytoczenia — zwłaszcza dla ludzi przekonanych, iż nie ma „miłości romantycznej” na Dalekim Wschodzie.

Za cmentarzem przy świątyni Sozanji, na przedmieściach stolicy, przez wiele lat stała samotna chatka, którą zamieszkiwał stary człowiek o imieniu Takahama. Lubiany był on w okolicy za swą uprzejmość, jednak każdy nieomal uważał go za odrobinę pomyłonego. Jeśli bowiem mężczyzna nie złoży ślubów buddyjskich, oczekuje się, że ożeni się i założy rodzinę. Ale Takahama nie należał do duchownego stanu, a do ożenku skłonić się go nie udało. Nie widziano także, by kiedykolwiek wstąpił on w związek miłosny z kobietą. Z górą pięćdziesiąt lat spędził on w całkowitej samotności.

Pewnego lata zachorował i domyślił się, iż nie pozostało już przed nim wiele życia. Posłał wówczas po wdowę po swym bracie i jej jedyne go syna, młodzieńca dwudziestoletniego, do którego był ogromnie przywiązany. Oboje przybyli bezzwłocznie i uczynili wszystko, by ulżyć starcowi w jego ostatnich godzinach.

Kiedy pewnego parnego popołudnia czuwali przy łożu, Takahama zasnął, a w tej samej chwili do izby wleciał wielki biały motyl i przysiadł na jego poduszce. Siostrzeniec odpędził go wachlarzem, lecz on natychmiast powrócił. Znowu został odgoniony i pojawił się po raz trzeci. Wtedy chłopiec pobiegł za nim do ogrodu i dalej, przez otwartą bramę, na cmentarz przy pobliskiej świątyni. Motyl polatywał jednak tuż przed swym prześladowcą, jak gdyby nie chcąc się nadmiernie odeń oddalić, i zachowywał się tak dziwnie, że ów zaczął zastanawiać się, czy był to w istocie zwyczajny owad, czy też *ma* *. Ale ścigał go dalej, aż zapuścił się w odległą część cmentarza. Nagle motyl pofrunął w stronę grobu — grobu kobiety — i w niewytłumaczalny sposób zniknął. Młodzieniec daremnie rozglądał się wokoło, po czym przyjrzał się pomnikowi.

Widniało na nim imię „Akiko” wraz z nie znanym mu nazwiskiem rodowym oraz inskrypcja mówiąca, że Akiko umarła w wieku osiemnastu lat. Najwyraźniej nagrobek wzniesiony został jakieś pięćdziesiąt lat wcześniej i porastać już zaczął mchem. Otaczany był jednak troskliwą opieką — stały przed nim świeże kwiaty, a naczynie na wodę napełniono niedawno.

Powróciwszy do izby chorego, dowiedział się, iż wuj wydał ostatnie tchnienie. Śmierć zstąpiła nań bezboleśnie, a na martwej twarzy zastygł uśmiech.

Chłopiec opowiedział matce, co ujrzał na cmentarzu, a ona wykrzyknęła:

— Ach! Więc musiała to być Akiko!

— Któż to taki owa Akiko, matko? — spytał.

* Zły duch.

— Kiedy wuj twój był młody — odpowiedziała wdowa — zaręczono go z córką sąsiada, uroczą dziewczyną o imieniu Akiko. Ale na krótko przed wyznaczonym dniem ślubu Akiko zmarła na gruźlicę. Jej niedoszły mąż wielce rozpacział i po pogrzebie uczynił ślub, iż nigdy się nie ożeni. Wybudował ten niewielki domek koło cmentarza, by stale być blisko ukochanej. Wszystko to wydarzyło się z górą pięćdziesiąt lat temu i każdego dnia przez te pięćdziesiąt lat, czy to zimą czy też latem, wuj twój chodził na cmentarz, modlił się przy grobie, omiatał nagrobek i składał przed nim ofiary. Nie lubił, kiedy o tym mówiono, i sam nigdy na temat ten z nikim nie rozmawiał... I tak oto Akiko wreszcie po niego przyszła — biały motyl był jej duszą.

IV

Nieomal zapomniałem opowiedzieć wam o starożytnym tańcu japońskim, zwanym Tańcem Motyli — *Kocho-Mai* — wykonywanym ongiś w Pałacu Cesarskim przez tancerzy przebranych za motyle. Czy dziś jeszcze czasami jest on tańczony, tego nie wiem, lecz podobno jego tajniki zgłębić nadzwyczaj trudno. Sześciu tancerzy nieodzownych jest do właściwego odtworzenia go, i muszą oni poruszać się w określonych figurach, ściśle przestrzegając tradycyjnych reguł rządzących każdym krokiem, pozą czy gestem, krążąc wokół siebie powolnie przy dźwiękach ręcznych bębenków i wszelkich bębnów, małych i wielkich fletów oraz fletni Pana o kształtach nie znanych bożkowi Panowi z Zachodu.

KOMARY

Mając na uwadze ochronę siebie samego, przeczytałem książkę dr Howarda *Komary*, jako że owady te wielce mnie prześladują. W mojej okolicy występuje kilka ich odmian, ale tylko jedna stanowi prawdziwą udrękę — maleńka żądliwa istota, cała w srebrne cętki i srebrne prążki. Ukłucie jej ostre jest niczym iskra elektryczna, a już samo brzęczenie ma tak przeszywający ton, że zapowiada rodzaj nadchodzącego bólu, podobnie jak specyficzny zapach daje pojęcie o smaku potrawy. Dochodzę do wniosku, iż komar ten nadzwyczaj przypomina stworzenie, które dr Howard zwie *Stegomyia fasciata* lub *Culex fasciatus*, a jego obyczaje podobne są obyczajom *Stegomyi*. Dla przykładu, jest on owadem raczej dziennym niż nocnym i szczególnie dokuczliwym staje się po południu. Pochodzi zaś, jak odkryłem, z buddyjskiego cmentarza, rozciągającego się za moim ogrodem.

Dr Howard twierdzi, że aby pozbyć się komarów z okolicy, wystarczy tylko wlać nieco nafty lub ropy do stojącej wody, gdzie zwykły się one lęgnąć. Raz na tydzień ropę winno się stosować „w proporcji jednej uncji na każde piętnaście stóp kwadratowych, a na mniejsze powierzchnie — proporcjonalnie mniej”... Lecz zważcie, proszę, specyfikę *MOJEJ* okolicy.

Wspomniałem już, iż moi prześladowcy pochodzą z buddyjskiego cmentarza. Przed każdym niemal grobem znajduje się tam rezerwar na wodę lub zbiornik, zwany *mizutamè*. W znakomitej większości są to po prostu podłużne wgłębienia wydrążone w szerokim piedestale, w którym osadzony jest pomnik, lecz przed znamienitszymi grobowcami stoją już wolno spore pojemniki wykute z litych bloków kamiennych, zdobne w rodowe herby lub symboliczne płaskorzeźby. Przy grobach ludzi z klasy najuboższej, pozbawionych *mizutamè*, umieszczone są miseczki i inne naczynia, wszyscy bowiem zmarli muszą mieć wodę. Także kwiaty winny im być ofiarowane, a więc przed każdym nagrobkiem ujrzeć można parę bambusowych czarek albo flakonów o najrozmaitszych kształtach, a one, rozumie się — również wypełnione są wodą. Czerpie się ją z cmentarnej studni, wykopanej z myślą o potrzebach spoczywających tu ludzi, a kiedy przybywają ich krewni lub znajomi, odświeżają zawartość rezerwarów i czarek. Ponieważ jednak na tak starym cmentarzu znajdują się tysiące *mizutamè* i dziesiątki tysięcy naczyń na kwiaty, nie sposób zmieniać w nich wody codziennie — stojąc zaś długo, rodzi życie. Głębsze zbiorniki rzadko kiedy wysychają — opady deszczu w Tokio są na tyle obfite, by utrzymywać je po części pełnymi przez dziewięć z dwunastu miesięcy w roku.

I oto w tych właśnie pojemnikach i naczyniach na kwiaty lęgną się moi wrogowie. Milionami wznoszą się z wody umarłych, zaś według doktryny buddyjskiej, niektórzy mogą być reinkarnacjami zmarłych ostatecznie i za grzechy popełnione we wcześniejszych egzystencjach skazanych na kondycję *Jiki-getsu-gaki*, czyli *pret* żerujących na krwi... Tak czy owak, złośliwość *Culex fasciatus* w pełni usprawiedliwia podejrzenie, że w drobnym tym ciałku uwięziona została jakaś niegodziwa ludzka dusza.

Powróćmy do kwestii działania nafty. Możliwym jest wytępienie komarów w danej okolicy przez pokrycie cienką oleistą powłoką powierzchni wszystkich znajdujących się tam wód stojących. Larwy zdychają wynurzając się, by oddychać, a dorosłe samice giną, gdy zbliżą się do wody, aby spuścić na nią trawki jajeczek. Wyczytałem w książce dr Howarda, że realny koszt uwolnienia od tych owadów jednego amerykańskiego miasta o populacji pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców nie przekracza sumy trzystu dolarów!

Ciekaw jestem, jaka byłaby reakcja, gdyby władze miejskie Tokio, wręcz agresywne w swej racjonalności i postępowości, zarządziły naraz, by wszystkie powierzchnie wód na buddyjskich cmentarzach w regularnych odstępach czasu powlekano cienką warstwą nafty. Czy religia potępiająca niszczenie życia — nawet życia niewidzialnego — pogodziłaby się z

podobnym nakazem? Czy synowskie oddanie dopuściłoby nawet myśl o podporządkowaniu się podobnemu wezwaniu? Wyobraźcie sobie wreszcie nakład pracy i czasu, jaki pochłonęłoby nalewanie co siedem dni nafty do milionów *mizutamè* i dziesiątków milionów bambusowych czarek na tokijskich cmentarzach... Niepodobieństwo! Aby uwolnić miasto od komarów, nieuniknionym byłoby zniszczenie starożytnych nekropolii, co z kolei przywiódłoby do ruiny wzniesione przy nich buddyjskie świątynie i oznaczałoby unicestwienie tak wielu malowniczych ogrodów z porośniętymi lotosem stawami, pokrytymi sanskryckimi inskrypcjami pomnikami, łukowatymi mostkami, świętymi gajami i tajemniczo uśmiechniętymi Buddami! Tak więc wytepienie *Culex fasciatus* pociągnęłoby za sobą zagładę pełnego poezji kultu przodków — zaiste, zbyt wielka to cena do zapłacenia!...

Ponadto, gdy nadejdzie moja godzina, chciałbym spocząć na jednym z owych wiekowych buddyjskich cmentarzy, gdzie towarzystwo me byłoby równie wiekowym — całkiem obojętnym na mody, przemiany i zmierzch Meiji. Ten stary cmentarz za moim ogrodem zdaje się być odpowiednim miejscem. Wszystko na nim jest piękne pięknem niezwykłym, każde drzewo i każdy kamień ukształtował tam pradawny ideał, obcy współczesnej mentalności, nawet cienie i słoneczne światło są nie z tego świata, lecz ze świata zapomnianego, nie znającego pary, elektryczności, magnetyzmu i... nafty! Także w biciu wielkiego dzwonu pobrzmiewa pewien osobliwy ton, który ożywia uczucia dziwnie odległe współczesnej części mojej osobowości, a których nikłe i tajemne oznaki budzenia się przejmują mnie lękiem — rozkosznym lękiem. Ilekroć słyszę ów rozkołysany zew, czuję, jak w najprzepastniejszych zakątkach mej duszy rodzi się niepokój i drżenie, jak gdyby wspomnienia walczyły o przebicie się ku światłu przesłoniętemu milionami zgonów i narodzin. Ufam, że będę pochowany w zasięgu głosu tego dzwonu... Rozważywszy zaś ewentualność, iż mogę zostać skazany na byt *Jiki-getsu-gaki*, pragnąłbym ponownie urodzić się w jednej z bambusowych czarek na kwiaty lub w *mizutamè*, skąd lekko wzbiłbym się w powietrze i zawodząc swą piskliwą i zjadliwą pieśń pokąsałbym kilka znanych mi osób.

MRÓWKI

Po całonocnej nawałnicy poranne niebo jest czyste i olśniewająco błękitne. Powietrze — jakże rozkoszne! — przesycają słodkie żywiczne wonie wydzielane przez niezliczone gałęzie sosnowe, połamane i rozrzucone przez wicher. Z bambusowego gaju nie opodal dobiega mnie podobny dźwiękom fletu śpiew ptaka wielbiącego *Sutrę Lotosu*, a południowy wiatr całemu krajowi przyniósł zaciszny spokój. Mocno spóźnione lato przyszło wreszcie na dobre — wokoło fruwały japońskie motyle o niezwykłym ubarwieniu, brzęczą osy, tańczą w słońcu muszki, a mrówki uwijają się naprawiając swe zniszczone siedziby... Przypomina mi się japoński wiersz:

Yuku è naki:
Ari no su mai ya!
Go-getsu amè.

[*Teraz nie ma biedne stworzenie dokąd pójść! O, nieszczęsne domostwa mrówek w tym deszczu piątego miesiąca!*]

Nie wydaje się jednak, by wielkie czarne mrówki z mojego ogrodu potrzebowały współczucia. W niepojęty sposób przetrwały burzę, podczas gdy olbrzymie drzewa zostały wyrwane z korzeniami, budynki rozdarte na strzępy, a drogi zmyte z powierzchni ziemi. A przecież w przeddzień tajfunu nie poczyniły one żadnych widocznych kroków zabezpieczających, prócz zablokowania bram swego podziemnego miasta. Obraz tego triumfującego mozołu natchnął mnie dziś do podjęcia próby napisania eseju o mrówkach.

Chciałem poprzedzić swój elaborat fragmentem z dawnej literatury japońskiej — czymś wzruszającym lub metafizycznym — lecz wyjąwszy kilka wierszy niewielkiej wartości, wszystko, co moi japońscy przyjaciele mogli mi na ten temat wyszukać, pochodziło z Chin. Były to głównie opowieści niezwykłe, zaś jedna z nich wydała mi się godna przytoczenia — *faute de mieux*.

W prowincji Taishu w Chinach żył niegdyś pobożny człowiek, który każdego dnia, przez wiele lat, oddawał żarliwą cześć pewnej bogini. Jednego ranka, kiedy pogrążony był w modlitwach, piękna kobieta odziana w żółtą szatę ukazała się w jego izbie i stanęła przed nim. Wielce zaskoczony, spytał, czego sobie życzy i dlaczego weszła nie zapowiedziana, a ona rzekła:

— Nie jestem kobietą, lecz boginią, którą tak długo i żarliwie wielbisz, i przyszłam, by udowodnić ci, że twe oddanie nie było daremne... Czy znanym jest ci język mrówek?

— Nisko urodzonym i niewykształconym człowiekiem jestem — odpowiedział — nie zaś uczonym. Nie znam nawet języka, jakim mówią ludzie wyższego stanu.

Słyszac to, bogini uśmiechnęła się i wyciągnęła spod szaty szkatułkę podobną pudełkom na kadzidła, a zaczerpnąwszy z niej odrobinę maści, nasmarowała uszy człowieka.

— A teraz — nakazała — spróbuj znaleźć mrówki, kiedy je zauważysz, pochyl się i uważnie wysłuchaj ich rozmowy. Zrozumiesz ją i dowiesz się czegoś, co przyniesie ci korzyść. Pomnij tylko, by mrówek nie przestraszyć lub nie rozdrażnić. — Po słowach tych zniknęła.

Człowiek bez chwili zwłoki ruszył na poszukiwania, lecz ledwie zdążył przekroczyć próg swego domu, spostrzegł dwa owady na kamiennym cokole jednego ze słupów wspierających dom. Pochylił się i ze zdumieniem odkrył, że słyszy ich rozmowę i rozumie każde z niej słowo:

— Spróbujmy znaleźć cieplejsze miejsce — odezwała się pierwsza mrówka.
— Cieplejsze miejsce? — zdziwiła się druga. — Czyżby to nie było dobre?
— Nazbyt wilgotne jest ono i zimne. Zakopano tu wielki skarb, a ziemi wokół niego słońce ogrzać nie może. — Obie mrówki oddaliły się, a człowiek pobiegł po szpadel.

Kopiąc tuż obok cokołu natknął się niebawem na kilka sporych garnców pełnych złotych monet i dzięki nim stał się nad wyraz bogatym.

Później jeszcze nieraz usiłował przysłuchiwać się mrówkom, ale nigdy już nie usłyszał ich rozmowy. Maść bogini otworzyła jego uszy na ich tajemny język zaledwie na ten jeden dzień.

Oto ja, wzorem owego pobożnego Chińczyka, wyznać muszę, iż jestem wielkim ignorantem, naturalnie niezdolnym usłyszeć, o czym mówią mrówki. Czasami jednak Wróżka Nauki różdżką swą dotyka mych uszu i oczu, i wówczas przez krótką chwilę usłyszeć mogę rzeczy niesłyszalne i dostrzec rzeczy niedostrzegalne.

II

Dla tej samej przyczyny, dla jakiej w rozmaitych kręgach uważa się za niesmaczny pogląd, iż ludy niechrześcijańskie stworzyły cywilizacje pod względem etycznym wyższe od naszej, pewnym osobom niemiłe wyda się to, co zamierzam powiedzieć o mrówkach. Ale są także ludzie, o mądrości których nawet marzyć nie mogę, którzy owady i cywilizacje traktują według własnych zasad, nie oglądając się na błogosławieństwo Kościoła. Nadto wsparcie znajduję w nowym wydaniu *Cambridge Natural History*, gdzie zawarte są następujące uwagi o mrówkach pióra profesora Davida Sharpa:

„Badania ujawniły najwyższej uwagi godne zjawiska związane z tymi owadami. W rzeczy samej, nie sposób nie dojść do wniosku, że pod wieloma względami posiadały one sztukę życia we wspólnocie doskonalszą od naszej i wyprzedziły rodzaj ludzki w przyswojeniu pewnych prac i umiejętności, które ogromnie usprawniają funkcjonowanie społeczeństwa”.

Przypuszczam, iż niewiele osób dobrze znających tę tematykę poda w wątpliwość tak jednoznacznie brzmiące oświadczenie wykwalifikowanego specjalisty. Współczesny człowiek nauki nie jest skory do żywienia sentymentu dla mrówek czy pszczoł, lecz również nie zawaha się potwierdzić, że odnośnie ewolucji społecznej wysforowały się one, jak się zdaje, przed człowiekiem. Pan Herbert Spencer, któremu romantycznych skłonności nikt nie może zarzucić, posuwa się znacznie dalej niż profesor Sharp — dowodzi on, iż mrówki w istocie rzeczy etycznie, a także ekonomicznie, wyprzedzają w rozwoju ludzkość, poświęcając swe życie bezwzględnie celom altruistycznym. Doprawdy, profesor Sharp niepotrzebnie opatruje swą pochwałę mrówki zastrzeżeniem:

„Działalność mrówki różni się od działalności człowieka. Podporządkowana jest raczej dobru całego gatunku aniżeli jednostki, która tym samym zostaje poświęcona lub poddana specjalizacji ku pożytkowi całej społeczności”.

Oczywista jest implikacja, że każdy ustrój, w którym doskonalenie się jednostki podporządkowane jest wspólnemu dobru, pozostawia wiele do życzenia z czysto humanistycznego punktu widzenia. Człowiek wciąż jeszcze bowiem ewoluował w stopniu niedostatecznym, zaś z dalszego jego indywidualnego rozwoju rodzaj ludzki wiele może zyskać. Lecz w odniesieniu do społeczności owadów ów pogląd łatwo podważyć. „Doskonalenie się jednostki — mówi Herbert Spencer — zmierza do coraz wydatniejszego włączenia jej w proces społecznej współpracy, a ta, będąc nieodzownym warunkiem osiągnięcia dobrobytu, niezbędna jest do utrzymania ciągłości gatunku”. Innymi słowy, wartość jednostki ocenić można wyłącznie w

odniesieniu do społeczeństwa, a przyjąwszy to za pewnik, osąd, czy poświęcenie jej dla powszechnego dobrobytu jest złem czy też dobrem, zależy od tego, co cały rodzaj zyska lub straci w procesie ciągłego indywidualizowania się jego poszczególnych przedstawicieli. Jednakże, jak zobaczymy za chwilę, godnymi naszej najwyższej uwagi są uwarunkowania natury etycznej, charakteryzujące społeczności mrówek, te zaś znajdują się poza zasięgiem ludzkiego krytycyzmu, gdyż stanowią urzeczywistnienie ideału ewolucji moralności, opisaney przez pana Spencera jako „etap, na którym egoizm i altruizm będą tak z sobą pogodzone, iż stopią się w jedno” — czyli etap, na którym jedyną działalnością dającą szczęście będzie działalność nieegoistyczna. Cytując jeszcze raz pana Spencera, funkcjonowanie społeczeństwa mrówek polega na „utożsamieniu dobra jednostki tak całkowicie z dobrem społeczności, że potrzeby indywidualne zdają się być przedmiotem troski wyłącznie w zakresie niezbędnym do zapewnienia właściwego uczestnictwa w życiu wspólnoty... a jednostkowymi korzyściami są takie tylko ilości pożywienia i wypoczynku, które niezbędne są do utrzymania sił żywo-tych”.

III

Żywię nadzieję, iż czytelnik mój świadom jest tego, że mrówki trudnią się ogrodnictwem i rolnictwem, że biegle są w hodowli grzybów, że oswoiły — według dzisiejszego stanu wiedzy — pięćset osiemdziesiąt cztery rozmaite gatunki zwierząt, że potrafią drążyć tunele w litej skale, że znają sposoby zabezpieczenia się przed zmianami atmosferycznymi, które mogłyby zagrozić zdrowiu młodych, a także tego, że ich długowieczność jest wyjątkowa, bowiem przedstawiciele najwyższej rozwiniętych społeczności żyją wiele lat.

Lecz nie tymi sprawami chciałbym się tutaj zająć. Interesuje mnie przede wszystkim nadzwyczajna prawość, rzekłbym: grozę wręcz budząca moralność mrówki *. Nasze najbardziej nawet surowe wzory prowadzenia się w żadnym wypadku nie dorównują poziomowi etycznemu osiągniętemu przez mrówki. [Kiedy mówię „mrówka”, mam naturalnie na myśli odmiany najbardziej zaawansowane, nie zaś całą rodzinę. Znamy już około dwóch tysięcy gatunków tych owadów, które pod względem społecznej organizacji reprezentują wielce zróżnicowane stadia ewolucji. Pewne zjawiska natury społecznej i nie mniej interesujące ze sfery etyki mogą być badane z pożytkiem jedynie na przykładzie najwyższej rozwiniętych wspólnot.]

Po tym wszystkim, co ostatnimi laty napisano o trafności ocen zmiennych warunków, wobec których w ciągu swego długiego życia staje mrówka, przypuszczam, że niewielu ludzi ośmieli się odmówić indywidualności temu małemu stworzeniu. Inteligencja, z jaką zwycięsko stawia ono czoła trudnościom nowego rodzaju i łatwość, z jaką adaptuje się do okoliczności samodzielnego myślenia. Przy tym jedno nie ulega wątpliwości: nie posiada ono osobowości zdolnej rozwinąć egoizm, a słowa tego używam w jego znaczeniu najpospolitszym. Nie sposób wyobrazić sobie mrówki chciwej, mrówki zmysłowej, mrówki skłonnej do popełnienia któregoś z siedmiu grzechów głównych, czy nawet — małego, powszedniego grzeszku. Naturalnie, równie trudno przedstawić sobie mrówkę romantyczną, mrówkę idealistyczną, mrówkę poetyczną lub mrówkę o inklinacjach do metafizycznych spekulacji. Żaden umysł ludzki nie jest w stanie dorównać absolutnej rzeczowości, cechującej rozum tego owada, żaden człowiek o dzisiejszej konstytucji psychicznej nie mógłby kultywować duchowych przymiotów natury tak nieskazitelnie praktycznej. Ten w najwyższym stopniu praktyczny ro-

* Ciekawym faktem z tym związanym jest to, że japońskie określenie mrówki, *ari*, wyraża się za pomocą ideografu, którego jeden znak tłumaczy się „owad”, drugi zaś — „moralna przyzwoitość”, „prawość” (*giri*). Tak więc ów hieroglif znaczy dokładnie „Prawy Owad”.

zum nie jest jednak zdolny do uczynku niemoralnego. Zapewne z trudnością przyszłoby udowodnić, że mrówce obce są wszelkie ideały religijne, lecz nie ulega wątpliwości, iż jakakolwiek religia byłaby dla niej bezużyteczna, bowiem istota nie znająca moralnej słabości wznosi się ponad konieczność „duchowego przewodnictwa”.

Jedynie nad wyraz mgliście możemy uzmysłwić sobie specyfikę mrówczej społeczności i charakter mrówczej moralności, ale by nawet tego dokonać, musimy podjąć się próby opisanego, jeszcze nie istniejącego, etapu rozwoju społeczności i moralności ludzkiej. Wyobraźmy więc sobie świat zamieszkały przez nieustannie i zapamiętałe pracujące istoty, z których wszystkie zdają się być kobietami. Żadnej z nich nie udałoby się namówić lub skusić do wzięcia choćby jednego atomu żywności więcej niż to konieczne do podtrzymania jej sił i żadna nie śpi nawet sekundy dłużej niż to niezbędne dla utrzymania jej systemu nerwowego w należytym do kontynuowania pracy stanie, wszystkie zaś mają tak szczegółowo określone obowiązki, że najmniejsza nieuzasadniona folga spowodowałaby zakłócenia w sprawnym funkcjonowaniu całości.

Codzienna praca wykonywana przez te robotnice obejmuje kładzenie dróg, budowanie mostów, wyrąb lasu, wznoszenie architektonicznych konstrukcji niezliczonych typów, ogrodnictwo i rolnictwo, dokarmianie i dogładanie setek gatunków zwierząt domowych, wytwarzanie rozmaitych produktów chemicznych, magazynowanie i konserwowanie niezmierzonej ilości artykułów żywnościowych oraz opiekę nad potomstwem. Działalność ta prowadzona jest dla dobra wspólnoty, a żadnej jej obywatelce nawet na myśl nie przyjdzie słowo „własność” w innym niż *res publica* znaczeniu. Nadrzędny cel owej wspólnoty stanowi wychowywanie i szkolenie młodych, z których niemal wszystkie są płci żeńskiej. Okres niemowlęstwa trwa nad wyraz długo, a przez znaczną jego część dzieci są nie tylko nieporadne, ale i bezkształtne, przy tym zaś tak delikatne, że troskliwie muszą być chronione nawet przed najbardziej znikomymi zmianami temperatury. Na szczęście ich opiekunki świadome są wymogów zdrowotnych, każda dokładnie poznała wszystko, co wiedzieć winna odnośnie wentylacji, dezynfekcji, odwadniania, nawilżania i zagrożenia ze strony bakterii — bakterii, które być może widzi swymi krótkowzrocznymi oczami tak wyraźnie, jak naszym oczom ujawniają się one pod mikroskopem. W rzeczy samej, wszelkie zagadnienia z higieny są tak doskonale opanowane, iż nie zdarza się, by pielęgniarka kiedykolwiek popełniła błąd w ocenie warunków sanitarnych panujących w jej otoczeniu.

Mimo nieustannej pracy, robotnice nie wyglądają na zaniedbane. Przeciwnie: robiąc toaletę wielokrotnie w ciągu dnia, każda jest wręcz wzorowo schludna, a ponieważ rodzi się z nadzwyczajnymi grzebieniami i szczotkami u nadgarstków, ani jednej chwili nie marnotrawi w łazience. Prócz dbałości o absolutną czystość osobistą, dla dobra dzieci muszą one także utrzymywać swe domy i ogrody w nieskazitelnym porządku. Nic ponad trzęsienie ziemi, erupcję, powódź i zacieklą wojnę nie może zakłócić codziennego odkurzania, zamiatania, szorowania i dezynfekowania.

IV

Przejdźmy teraz do spraw bardziej niezwykłych.

Ten świat nieustającego mozołu stał się jednak czymś więcej niż tylko odpowiednikiem świata westalek. Prawdą jest, że osobnicy rodzaju męskiego bywają w nim czasami przyjmowani, lecz pojawiają się tylko w określonych porach roku i nic ich nie łączy z robotnicami lub pracą. Wyjąwszy być może nadzwyczajną okoliczność powszechnego zagrożenia, żaden nie śmiałby odezwać się do robotnicy, ani też robotnicy nie przyszłoby nawet do głowy, by z nimi rozmawiać — w tym dziwnym świecie są oni bowiem istotami niższego rzędu, w

równym stopniu niezdolnymi do walki i do pracy, tolerowanymi jako zło konieczne. Jedna szczególnie kasta samic, Matki-Królowe, zniża się do krótkotrwałego z nimi obcowania w pewnych porach roku. Ale Matki-Królowe nie pracują i muszą obdarzać względami mężów. Zwyczajnej robotnicy obca jest wszelka myśl o towarzystwie samca i to niekoniecznie dlatego, że żywi niewysłowioną dlań pogardę lub też podobny związek uważa za nadzwyczaj lekkomyślne trwonienie czasu, ale po prostu dlatego, iż nie jest ona zdolna do małżeństwa. W istocie pewnym robotnicom zdarza się dzieworództwo i wówczas rodzą dzieci, które nie mają ojców, z reguły jednak są one samicami tylko w sferze instynktów moralnych — cechują je tkiwość, cierpliwość i zapobiegliwość, jakie zwykliśmy nazywać „macierzyńskimi”, ale ich fizyczna płeć zanikła, niczym płeć Dziewicy-Smoka z buddyjskiej legendy.

Do obrony przed drapieżcami lub nieprzyjaciółmi robotnice posiadają oręż, a nadto znajdują się pod ochroną olbrzymich sił wojskowych. Żołnierze przy tym są od nich o tyle potężniejsi wyglądem — przynajmniej w niektórych społecznościach — że na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, by należeli do tego samego gatunku. Wojownicy stokrotnie więksi od robotnic, których strzegą, nie stanowią widoku rzadkiego. Lecz są oni Amazonkami, a ściślej mówiąc — na pół samicami. Mogą również rzetelnie pracować, będąc jednak dzięki budowie ciała przystosowanymi głównie do walki i najcięższych robót, ich przydatność ogranicza się do tych obszarów, gdzie wymagana jest siła, a nie zręczność.

[Odpowiedź na pytanie, dlaczego to właśnie samice a nie samce miałyby w drodze ewolucji zostać przysposobionymi do żołnierki i najcięższej pracy nie jest wcale tak prostym zadaniem, jak się zdaje. Z całą pewnością udzielić jej nie potrafię. Niewykluczone, iż zdecydowały o tym naturalne uwarunkowania, u wielu bowiem gatunków samica nieporównanie przewyższa samca pod względem masy ciała i zasobów energii. W takim zaś przypadku większe zapasy sił życiowych, pierwotnie nagromadzonych w stuprocentowej samicy, mogły być szybciej i efektywniej spożytkowane na wykształcenie odrębnej kasty wojowników. Cała energia, gdzie indziej zużywana na wydanie życia, tu skierowana została na rozwinięcie bojowości lub wydajności roboczej.]

Właściwych samic, Matek-Królowych, jest doprawdy bardzo niewiele, a traktuje się je isticie po królewsku. Tak niestrudzoną i pełną oddania opieką są otoczone, iż nieczęsto się chyba zdarza, by głośno musiały oznajmiać o swych potrzebach. Nieznane są im wszelkie trudy życia, wyjąwszy obowiązek rodzenia potomstwa. Noc i dzień ich wygody zaspokajane są na wszelkie możliwe sposoby — tylko one otrzymują pożywienie w nadmiarze i obfitości, bowiem dla dobra dzieci winny jeść i pić i wypoczywać po królewsku, a fizjologiczna specjalizacja pozwala im folgować w tych sprawach *ad libitum*. Z rzadka opuszczają swoje komnaty i nie inaczej niż w otoczeniu potężnej eskorty, gdyż nie wolno im niepotrzebnie narażać się na zmęczenie lub niebezpieczeństwo. Nie wydaje się zresztą prawdopodobne, by same przejawiały nadmierną ochotę do spacerów. Wokół nich koncentruje się cała aktywność gatunku — wszystka jego inteligencja, znoj i zapobiegliwość mają na celu wyłącznie zapewnienie dobrobytu Matkom i ich dzieciom.

W hierarchii rasy małżonkowie owych Królowych zajmują jednak miejsce ostatnie i najpośledniejsze — uważani są za zło konieczne. Pojawiają się, jak już wcześniej wspomniałem, tylko w pewnych porach roku, a żywot ich jest nadzwyczaj krótkotrwały. Niektórzy nie mogą nawet poszczycić się szlachetnym pochodzeniem, bowiem nie należą do rodu Królowej — są potomstwem partenogenetycznym, zrodzonym z dziewic, a więc istotami niższego rzędu. Spośród wszystkich samców wspólnota toleruje nie więcej niż kilku — zaledwie tylu, ilu stać się ma mężami Matek-Królowych, a i oni giną, gdy tylko dopełnią swych powinności. Pojmowanie Praw Natury w tym niezwykłym świecie identyczne jest z nauką Ruskina, że życie bez znoju stanowi zbrodnię. Samcy nieprzydatni są jako robotnicy lub wojownicy, a więc istnienie ich ma jedynie usprawiedliwienie chwilowe. Nie bywają oni przy tym składani w ofierze, niczym ów aztecki nieszczęśnik z obchodów festiwalu Tezcatlipoca, któremu

dawano prawo do dwudziestojednodniowego miesiąca miodowego, zanim serce jego wydarte zostanie z piersi. Zdają się mimo to nie mniej nieszczęsnymi dostępując wielkiego szczęścia. Wyobraźcie sobie młodzieńców wychowanych w świadomości, że przeznaczeniem ich jest zostać małżonkami Królowych na jedną noc i że po skończeniu się weselnych godów nie będą już mieli moralnego prawa, by dalej żyć — że małżeństwo dla każdego z nich oznacza pewną śmierć i że nie mogą nawet mieć pociechy, iż będą oplakiwanymi przez wdowy, które przeżyją ich o okres wielu pokoleń!

V

Wszystko, co napisałem dotąd, jest zaledwie wstępem do prawdziwego „Romansu w świecie owadów”.

Daleko bardziej zaskakującym okryciem, dotyczącym tej zdumiewającej cywilizacji, jawi się fakt poskromienia potrzeb natury erotycznej. W pewnych szczególnie zaawansowanych w rozwoju społecznościach mrówek, płęć u większości osobników ulega całkowitemu zanikowi — w niemal wszystkich wspólnotach wyższego rzędu aktywność seksualna ograniczona jest do rozmiarów absolutnie niezbędnych do utrzymania ciągłości istnienia gatunku. Ów biologiczny fenomen sam w sobie jest jednak daleko mniej zastanawiający niż aspekt etyczny, jaki się z niego wyłania, bowiem poskromienie, a w praktyce — regulacja popędu płciowego nie sprawia wrażenia narzuconej! — przynajmniej w obrębie tego gatunku. Sądzi się obecnie, że te niezwykle stworzenia posiadały umiejętność rozwijania bądź też zatrzymywania w rozwoju cech płciowych u swych młodych poprzez odkrycie jakiegoś osobliwego modelu żywienia. Udało się im więc roztoczyć kontrolę nad instynktem uważanym za najpotężniejszy i najtrudniejszy do ujarznienia. Tak surowa wstrzeźliwość w sprawach seksu, traktowanych wyłącznie jako zabezpieczenie przed wymarciem gatunku, jest tylko jednym — choć najbardziej zadziwiającym — spośród wielu przejawów życiowych ograniczeń wypracowanych przez mrówki. Wszelkie skłonności do ulegania egoistycznym przyjemnościom, w najpospolitszym tego pojęcia znaczeniu, zostały również zwalczone na drodze fizjologicznych modyfikacji. Folgowanie jakimkolwiek naturalnym apetytom dopuszczalne jest wyłącznie w stopniu, w jakim bezpośrednio lub pośrednio służy korzyści całej społeczności — nawet niezbywalne wymogi przyjmowania pokarmu i snu zaspokajane są w ilościach nie większych niż konieczne do utrzymania odpowiedniej sprawności fizycznej. Jednostka ma prawo żyć, działać i myśleć tylko dla dobra wspólnoty, która tak dalece jak prawa kosmiczne zezwalają, triumfalnie sprzeciwiła się, by rządziły nią Miłość lub Głód.

Większość z nas wychowano w przeświadczeniu, iż żadna cywilizacja nie może istnieć bez wiary religijnej — nadziei na przyszłą nagrodę czy strachu przed przyszłą karą. Wpojono nam, że gdyby nie było praw opartych na moralnych ideałach i policji na straży tych praw stojącej, każdy nieomal dążyłby do osiągnięcia korzyści osobistej kosztem innych. Silni zniszczyliby wówczas słabych, litość i zyczliwość zniknęłyby bez śladu, a cała tkanka społeczna rozsypałaby się na strzępy... Nauki te głoszą wrodzoną niedoskonałość natury ludzkiej i zawierają oczywistą prawdę. Lecz ci, co pierwsi obwieścili tę prawdę tysiące lat temu, nie umieli wyobrazić sobie formy bytu społecznego, gdzie postępowanie samolubne w sposób *naturalny* byłoby niemożliwością. Dopiero bezbożna Przyroda dostarczyła nam pozytywnego dowodu na istnienie organizacji społecznej, w której zadowolenie z działalności dobroczynnej wchłania pojęcie obowiązku, w której instynktowna moralność czyni bezużytecznymi wszelkie kodeksy moralne, w której każdy obywatel rodzi się tak absolutnie bezinteresownym i tak prawym, że wpajanie mu zasad moralnych, nawet w okresie dzieciństwa, oznaczałoby nie mniej i nie więcej niż stratę cennego czasu.

Dla ewolucjonisty fakty te są jednoznaczne w swej wymowie: wartość naszych ideałów moralnych jest zaledwie przejściowa, a w sprzyjających okolicznościach cnota, dobroć i samowyrzeczenie w dzisiejszym, ludzkim tych słów znaczeniu, mogą zostać zastąpione czymś lepszym. Staje on wobec powinności zadania sobie pytania, czy świat pozbawiony nakazów moralnych nie byłby w istocie bardziej moralnym od świata przez nie rządzonego. Musi również zapytać siebie, czy sama obecność religijnych przekazów, praw moralnych i standardów etycznych nas obowiązujących nie dowodzi, że wciąż znajdujemy się na bardzo prymitywnym etapie społecznego rozwoju. W konsekwencji rodzi się jeszcze jedno pytanie: czy na tej planecie ludzkość zdoła wznieść się na poziom etyczny ponad wszelkimi ideami, na którym wszystko, co zwiemy dziś złem, ulegnie całkowitej atrofii, a wszystko, co nazywamy cnotą, przekształci się w instynkt i osiągnięty zostanie stan altruizmu, który etyczne koncepcje i kodeksy uczyni równie bezużytecznymi, jak bezużytecznymi byłyby one już teraz w społecznościach mrówek?

Tytani myśli współczesnej pytaniu temu poświęcili sporo uwagi, a największy spośród nich, Herbert Spencer, odpowiedział na nie po części twierdząco. Wyraził on pogląd, że cywilizacja ludzka zdąża ku etapowi pod względem etycznym porównywalnemu do tego, który osiągnęły mrówki:

„Jeżeli pośród niższych w systematyce zwierząt obserwujemy przypadki, w których natura została tak organicznie zmodyfikowana, iż aktywność altruistyczna utożsamiała się z aktywnością egoistyczną, nieodparcie nasuwa się wniosek, że w analogicznych warunkach może nastąpić podobna ich identyfikacja w obrębie rodzaju ludzkiego. Owady żyjące we wspólnotach dostarczają nam przykładów trafiających w samo sedno zagadnienia — przykładów ilustrujących do jak zdumiewającego stopnia życie jednostki może się łączyć ze służbą dla dobra innych jednostek... Nie należy sądzić, by mrówka lub też pszczoła miała poczucie obowiązku w naszym tego słowa znaczeniu, trudno także podejrzewać, że zmuszana jest do ustawicznych poświęceń, tak jak my je pojmujemy... (Fakty) dowodzą, że organizacja jest w stanie wyprodukować osobowość, która do altruistycznych celów zmierzać będzie z równą, a nawet większą determinacją niż do celów egoistycznych. Dowodzą one również, iż w przypadku tym dążenie do altruistycznych celów jest dążeniem dla siebie, a więc — gdy spojrzeć na nie z innej strony — dążeniem egoistycznym.

[...] Dalekie od prawdy jest przypuszczenie, że warunki w których interes partykularny będzie nieustannie podporządkowany interesowi społeczności trwać będzie wiecznie. Wprost przeciwnie: dbałość o innych stanie się tak wielkim źródłem zadowolenia, że w ostatecznym rozrachunku usunie w cień przyjemność czerpaną z osiągnięcia doraźnej egoistycznej korzyści... Koniec końców nadejdzie etap, na którym egoizm i altruizm będą tak z sobą pogodzone, iż stopią się w jedno”.

VI

Powyższa prognoza bynajmniej nie sugeruje, że natura człowieka poddana kiedyś będzie fizjologicznym korektom, zmierzającym do ustanowienia analogicznej do wspólnot owadnich struktury społecznej, tworzonej z kast o różnej specjalizacji. Nie zmusza się nas również, by przyszedł etap rozwoju ludzkości wyobrażać sobie jako organizację, w której zdana do pracy większość pół-samic, robotnic i Amazonek, harowałaby na rzecz pasywnej mniejszości wyselekcjonowanych Królowych. Nawet pan Spencer w rozdziale *Ludzka populacja przyszłości* nie zdobył się na wyszczególnienie fizycznych modyfikacji nieodzownych do produkcji istot moralnie wyższych, choć zawarte tam uwagi natury ogólnej, dotyczące udoskonalonego systemu nerwowego i dużego ograniczenia płodności, sugerują, iż ewolucja

w sferze moralnej pociągnie za sobą znaczne zmiany natury fizycznej. Jeżeli więc za wiarygodne przyjmujemy, że dla przyszłej ludzkości zadowolenie płynące z wzajemnej dobroczynności będzie jedyną radością życia, czyż wówczas nie będzie także usprawiedliwione wyobrażanie sobie innych transformacji, tak fizycznych jak i moralnych, które — biorąc pod uwagę przykłady z biologii owadów — leżą w zasięgu ewolucyjnych możliwości?... Kto wie? Z najwyższą czcią odnoszę się do Herberta Spencera, największego filozofa, jaki dotąd pojawił się na tym świecie, i z największą przykrością przyszłoby mi napisanie czegokolwiek sprzecznego z jego naukami, zwłaszcza gdyby czytelnik miał powziąć podejrzenie, iż zainspirowała mnie filozofia syntetyczna. Za poniższe refleksje ja jeden jestem odpowiedzialny, a jeśli się myślę, cała wina niechaj spadnie tylko na moją głowę.

Przypuszczam, że moralne transformacje przepowiedziane przez pana Spencera dokonałyby się nie inaczej jak na drodze przemian fizjologicznych, przeprowadzonych wręcz straszliwym kosztem. Etyczny poziom wspólnot owadzych możliwy był do osiągnięcia dzięki wysiłkowi, który, z determinacją podtrzymywany przez miliony lat, zwalczył wreszcie najpotężniejsze potrzeby. Być może taka będzie również droga naszego gatunku. Jak twierdzi pan Spencer, czasy największej ludzkiej niedoli dopiero nadejdą i związane będą z przyrostem naturalnym o nieznanych dotąd rozmiarach. O ile dobrze zrozumiałem, jednym z rozlicznych skutków tego długotrwałego stresu będzie nadzwyczajny rozkwit ludzkiej inteligencji i życzliwości, zaś rozwój inteligencji pociągnie za sobą obniżenie płodności. Ale osłabienie sił rozrodczych nie wystarczy — dowiadujemy się — do zapewnienia najlepszych warunków życia, a zaledwie zmniejszy nieco przyrost populacji — który jest główną przyczyną cierpienia. Ludzkość zbliża się nieco do stanu doskonałej równowagi społecznej, nigdy jej jednak w pełni nie osiągnie — *chyba, że zostaną odkryte sposoby rozwiązania problemów ekonomicznych, tak jak rozwiązały je wspólnoty owadów poprzez ujarznienie aktywności seksualnej.*

Przypuśćmy, że podobnego odkrycia dokonano, i że człowiek zdecydował się na zahamowanie rozwoju płciowego u większości swych młodych, aby siły wydatkowane do tej pory na aktywność erotyczną skierować na działalność wyższego rodzaju. Czyż rezultatem nie będzie w ostateczności ukształtowanie się społeczeństwa polimorficznego, jak u mrówek? A jeśli tak, to czy doskonalsi przedstawiciele Przyszłej Rasy w gruncie rzeczy nie będą istotami pozbawionymi wszelkich cech płciowych, wytworzonymi na drodze żeńskiej raczej niż męskiej ewolucji?

Wziąwszy pod uwagę fakt, jak wielu ludzi już dziś całkiem bezinteresownie skazuje się na celibat, nie mówiąc już o pobudkach religijnych, nie powinno wydawać się czymś nieprawdopodobnym, że bardziej zaawansowana w rozwoju ludzkość ochoczo poświęci olbrzymią część swej aktywności seksualnej dla dobra ogółu — mając zwłaszcza na widoku możliwość osiągnięcia za tą cenę pewnych korzyści. Niepoślednią wśród nich — założywszy, iż wzorem mrówek człowiek zyska kontrolę nad sprawami płci — byłoby wydłużenie życia. Przedstawiciele nowego gatunku ludzkiego, którzy wzniosą się ponad potrzeby erotyczne, mogliby więc zrealizować marzenie o życiu trwającym tysiące lat.

Już dzisiaj mamy świadomość, że żyjemy nazbyt krótko, by podołać pracy, jaka nas czeka, a w miarę upływu czasu — wraz z postępowaniem w dziedzinie wynalazczości i nieustannym rozwojem wiedzy — znajduwać będziemy coraz więcej powodów do ubolewania nad krótkotrwałością naszego istnienia. To, iż nauka wynajdzie kiedyś eliksir ze snu alchemików, jest wysoce nieprawdopodobne. Siły kosmiczne nie pozwolą się oszukać, a za każdą korzyść, którą nam odstępują, musimy płacić pełną cenę. Nie ma nic za darmo, głosi wieczne prawo. Być może, cena za długowieczność okaże się właśnie ceną, jaką zapłaciły mrówki. Być może, na jakiejś starszej planecie cena ta została już zapłacona, a zdolność do produkcji potomstwa ograniczona została do kasty pod względem morfologicznym niewyobrazalnie odmiennej od reszty gatunku...

VII

Ale jeżeli przyjmujemy, że fakty z biologii owadów zawierają wskazówki odnośnie kierunku mającego nastąpić w przyszłości rozwoju człowieka, czyż zarazem nie ujawniają one czegoś daleko bardziej istotnego, a mianowicie powiązania etyki z prawami kosmicznymi? Wydaje się, iż najwyższego stadium ewolucji nie będą mogły dostąpić stworzenia skłonne do postępowania, które ludzka moralność potępiała we wszystkich epokach. Wydaje się, iż największą siłą daje altruizm, a potęga doskonała nigdy nie kieruje się okrucieństwem lub żądzą. Bogowie nawet mogą nie istnieć, lecz moce, które kształtują i unicestwiają wszelkie formy życia są bardziej wymagające od bogów. Nie sposób udowodnić „dramatycznych skłonności” wędrownym gwiazd, niemniej procesy kosmiczne potwierdzają słuszność każdego systemu etycznego, którego fundamentalną zasadą jest przeciwstawienie się ludzkiemu egoizmowi.

OD REDAKCJI

Lafcadio Hearn (1850—1904) był amerykańskim pisarzem i dziennikarzem irlandzkiego pochodzenia. Przez wiele lat pracował na Karaibach, by w 1890 r. wyjechać do Japonii jako korespondent „Harper's Magazine”. Przeszedł tam niezwykłą metamorfozę: ożenił się z Japonką, przyjął buddyzm, wreszcie jako Koizumi Yakumo został obywatelem japońskim. Wykładał literaturę angielską na Uniwersytecie Waseda w Tokio, studiując jednocześnie kulturę swej nowej ojczyzny. W czasie pobytu w Japonii napisał szereg książek, z których najbardziej znany jest cykl legend i opowieści niesamowitych *Kwaidan*, dotąd często wznawiany na całym świecie. W przedmowie do tokijskiego wydania z lat siedemdziesiątych napisano, że owa książka jest „tak japońska jak haiku”. Osąd ten może się wydać zaskakujący — zwłaszcza, gdy przyjmie się powszechną opinię o hermetyczności literatur Dalekiego Wschodu. Fakt pozostaje jednak faktem: po czternastu latach od przybycia do Japonii Hearn umierał jako japoński pisarz narodowy. Można więc śmiało powiedzieć, że historia jego życia jest nie mniej niezwykła niż opowieści, które w swym *Kwaidanie* spisał.

SPIS RZECZY

Opowieść o Mimi-Nashi-Hoichi	02
Oshidori	07
Opowieść o O-Tei	08
Ubazakura	09
Dyplomacja	10
O zwierciadle i dzwonie	11
Jikininki	14
Mujina	16
Rokuro-Kubi	17
Tajemnica zabrana do grobu	22
Yuki-Onna	23
Opowieść o Aoyagi	25
Jiu-roku-zakura	30
Sen Akinosukè	31
Riki-Baka	34
Horai	35
Studia o owadach	
Motyle	38
Komary	47
Mrówki	49